CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO

TYGODNIK

ROK III. WARSZAWA, 10 Kwietnia 1938 R. NR. 13-14

Zagadnienie honoru

Są słowa, których nie należy nadużywać, które możliwie najrzadziej powinny być mówione publicznie. Do takich należy słowo „honor". Szczęśliwe są społeczeństwa, w których nie trzeba prowadzić publicznych dyskusji o honorze.

Polska, niestety. daleka jest dziś od tego rodzaju idealnego stanu społeczeństwa. Fakt ten przez lat piętnaście stanowił najwyższą udrękę Józefa Piłsudskiego. Przez lat piętnaście we wszystkich wypowiedziach Człowieka, stojącego na najwyższym szczeblu autorytetu moralnego, przejawia się jedno nie ucichające pytanie: Dlaczego?. Skąd pochodzi ta pasja „zaplutego karła", „robiącego małpie grymasy, przekształcającego każdą myśl odwrotnie", zatruwającego każdą rzecz „brudnymi rękoma", brudną duszą, brudnymi słowami i brudnym stęchłym powietrzem"?

Odpowiedź na to pytanie Józef Piłsudski stara się sformułować wielokrotnie. Przede wszystkim widzi w tym zjawisku rezultat niewolnej przeszłości: „Wylęgać się takie zjawiska mogą tylko w bagnie niewoli, przez które narody przechodzą". Lecz widzi i inne przyczyny. W drugim wykładzie o „Sprawie wileńskiej" w dniu 25 sierpnia r. 1923 daje szczegółowe hipotezy, wskazuje na źródła niebezpiecznego zjawiska.

Pierwsze z tych źródeł to nienawiść. „Nienawiść daje poszepty nieraz sprzeczne ze sobą, nieraz prowadzące do krzywdy na honorze i na czci. Nienawiść znana jest w życiu urzędowym, znana jest w życiu codziennym. Znana nieraz w życiu rodzinnym, gdy w procesie brat na brata miota oszczerstwa, które dla innych mogą być tylko śmieszne".

Drugie źródło to szantaż. Szantaż, mający na celu zmuszenie „do takich czy innych ustępstw. Do takiej czy innej pracy przeciwko sobie, przeciwko własnej duszy, własnemu sumieniu?" „Próba zastraszenia człowieka głupim śmiechem babiny, krzykiem sutenerów, hałasem i wrzaskiem hecy narodowej?"

Wreszcie trzecie źródło to nienazwana z imienia zazdrość. Zazdrość, która nie może znieść cudzego honoru, cudzej pracy, cudzej dumy: „Zepsucie nie znosi cnoty. Człowiek głęboko upokorzony nie znosi dumy. To jest moja trzecia hipoteza".

Poza tymi trzema hipotezami pozostaje jeszcze tylko czwarta i ostatnia: „hipoteza zobowiązania i służby u obcych".

×

Walka z tymi czynnikami rozkładu duszy narodowej była największą tragedią Józefa Piłsudskiego, przesłaniającą mu niekiedy poczucie szczęścia i dumy z osiągniętego dzieła o największym znaczeniu w historii. Raz jeszcze powtórzyła się smutna teza o wielkim błędzie duszy narodowej, który sprawia, że łatwiej jest czynić coś dla Polski, niżeli współpracować ze społeczeństwem polskim.

Jeśli obserwujemy niektóre metody i formy tworzenia opinii publicznej w Polsce w chwili obecnej, musimy stwierdzić, że, niestety, niewiele się w ciągu kilkunastu lat naszej niepodległości zmieniło na lepsze. Kto chce w jakiejkolwiek mierze zaznaczyć swą egzystencję człowieka dokonaniem mniej, czy więcej wartościowej pracy — musi być przygotowany na to, że znajdzie się w tym symbolicznym błocie, którego wyrabianie jest specjalnością pewnej części naszej prasy. I tutaj daje się zauważyć wciąż jedno i to samo zjawisko, na które również zwracał uwagę we „Wspomnieniu o Gabrielu Narutowiczu" Józef Piłsudski. W przeciwieństwie do stosunków panujących gdzie indziej akcje o charakterze niepoczytalnej szermierki błotnej wychodzą w Polsce przede wszystkim „z łona stronnictw t. zw. prawicowych, które na całym świecie zwykle miały charakter obrony również t. zw. ładu i porządku".

Lecz to jest uwaga niejako na marginesie sprawy. Rzeczą zasadniczą jest niebezpieczeństwo moralne i polityczne tego rodzaju stanu. Moralne, bo nie można bezkarnie tolerować warunków, w których zatraca się wszelka różnica pomiędzy łajdakiem, a najuczciwszym człowiekiem, mającym ambicje publicznego działania. Stan taki musi prowadzić niejako do naturalnej selekcji na korzyść udziału w życiu publicznym tych, którzy mają nerwy zdrowsze, niż sumienia. Inni — muszą powtórzyć maksymę Epikura, maksymę, której słuszność życiowa wzrasta w miarę degeneracji społeczeństw: „ten tylko dobrze przeżył, który się dobrze skrył!"

Obok tego rodzaju niebezpieczeństwa moralnego istnieje jeszcze drugie niebezpieczeństwo — polityczne. Terror niepoczytalnego słowa musi prowadzić za sobą zdziczenie obyczajów, które znowu ustępuje tylko pod naporem ostrych metod walki. W rezultacie niepoczytalny pisarz staje się często katalizatorem zbiorowego szaleństwa. Najostrzejsze wojny domowe były powodowane nieraz nie tyle przez głębokie różnice zdań, ile przez niepoczytalne słowa. Człowiek, który upaja sią rzekomym posłannictwem walki ze wszystkim i wszystkimi, niezawsze jest istotnym Katonem, częściej niepoczytalnym fanatykiem, czasem — mieszaniną durnia i szaleńca. Przy tym trzeba się liczyć z faktem, że choroba nieraz postępuje niepostrzeżenie, lecz i nieograniczenie. Nie darmo przetrwała legenda o tym, że najkrwawszy organizator rzezi Wielkiej Rewolucji Francuskiej, fanatyk ścinania głów — Jan Paweł Marat —

zwalniał się przed tym, jako lekarz, z obecności przy sekcjach, gdyż nie znosił widoku krwi i trupów.

Szaleństwo zbiorowe nie jest legendą. W społeczeństwach dzisiejszej Europy jest ono realnym niebezpieczeństwem. Jednym z głównych czynników tego szaleństwa jest jednak zawsze nieposzanowanie człowieka, w jakiejkolwiek przejawia się postaci. Podstawowym warunkiem istnienia innych zasad życia, niżeli te, które obowiązują w środowiskach hijen i szakali, jest zdolność poszanowania honoru własnego i cudzego. Warunki, w których każdy dziennikarz, każdy warchoł cierpiący na kompleks herostratesowy, może znaleźć ulgę przez fakt, że przyczepi się, jako pasożyt, do człowieka wypełniającego mniejszą, czy większą służbę publiczną i będzie żywił się dobrym imieniem i dobrą sławą tamtego — te warunki nie mogą być uznane za normalne.

Sprawa ta była podnoszona w rozmaitej postaci wielokrotnie i zawsze bezskutecznie. Nad całością naszego życia publicznego wciąż unosi się obłok gazów trujących złożonych z insynuacji, obłudy i wreszcie zwykłego kłamstwa. To ostatnie odgrywa ogromną rolę. Istnieją publicyści, którzy nie mogą zrozumieć, że zastrzeżenia w stosunku do ich krytyki płyną nie stąd, że jest ostra, lecz stąd, że kłamliwa. A społeczeństwo? — Niestety, to jest szczególnie słaby punkt całości atmosfery. Społeczeństwo nasze nie ma należytego stosunku do tych zagadnień. W odniesieniu do spraw, które dotyczą czci ludzkiej, zamiast pogardy dla kłamców, żywi często coś w rodzaju uczucia zobowiązania dla dostawców sensacji, wdzięczności za zgotowaną zabawę.

To ostatnie zagadnienie jest szczególnie ważne. Ono jest właściwą pożywką, na której rozwijał się i rozwija wątpliwej wartości proceder szarpania ludzkiej czci przez zawodowców w tej dziedzinie. W rezultacie każdy człowiek, który może mieć czas nieograniczony, bo głównym przedmiotem jego zainteresowań jest walka z dobrym imieniem innych, który równocześnie niezbyt ceni własne dobre imię, potrafi wyzyskać całą przewagę zawodowca na zmęczenie tych, dla których walka o własne dobre imię jest tylko częścią niesionej stale odpowiedzialności.

Jest to szczególnie niezdrowy przywilej dla ludzi o mniejszej zazwyczaj wartości. Stan tego rodzaju nie może być uważany za zdrowy i normalny.

×

Jakie są sposoby zaradzania złemu? Konfiskaty? — Zaostrzenie wymiaru sprawiedliwości? Przyśpieszenie procedury sądowej?

Niewątpliwie! — Wszystko to są środki, które dobrze zorganizowane społeczeństwo musi stosować. Nie one jednak mają znaczenie najistotniejsze.

Najważniejsze jest wytworzenie poczucia moralnego w samym społeczeństwie. Nie można w stosunku do zawodowych oszczerców mieć pobłażliwego stosunku widza teatralnego, zabawionego dobrym odegraniem roli. Człowiek, który szanuje własne dobre imię, musi mieć poczucie wartości i cudzego honoru. Dżentelmen nie tylko sam nie może posługiwać się bronią zatrutą, lecz nie może pochwalać tego rodzaju metody, choćby nie był doraźnie jej celem.

Nad całością życia polskiego ciąży nadzwyczaj ujemnie fakt, na który parokrotnie zwracaliśmy uwagę, że każdy dba tylko o opinię własnych przyjaciół politycznych. Sąd bezstronny i spokojny o przeciwniku należy do rzadkości. Wykładnikiem publicystycznego sumienia jest przede wszystkim interes polityczny. Zatraca się poczucie prawdy jako wartości nadrzędnej i oderwanej.

Stan taki nie jest napewno dobry, więcej, jest niebezpieczny. Walka z nim jest niezmiernie utrudniona. Nie mniej walka z tym stanem musi być uważana za jeden z głównych czynników istotnego zdrowia naszych stosunków wewnętrznych.

Walka ta jest utrudniona przez brak należytych kryteriów. Jedną z najpoważniejszych trudności jest charakterystyczna mistyfikacja, której przejawy nieraz daje się z dużą wyrazistością spostrzegać, a która polega na tym, że wszelkie hasła rozbrojenia obyczajowego są w sposób zupełnie specyficzny podchwytywane przez ośrodki najbardziej grzeszne, celem niejako odebrania atakowanym nawet możności obrony. Jesteśmy świadkami mistyfikacji nieraz niezmiernie daleko posuniętych. Mistyfikacje te można by porównać z ewentualnym wysunięciem przez Niemcy w drugiej połowie wojny żądania, by trybunał haski zarządził rozbrojenie flot państw koalicyjnych, celem zapewnienia niemieckim łodziom podwodnym bezpieczeństwa przy pełnieniu przez nie służby zatapiania statków pasażerskich innych państw. Agresor sięga tu po prawa napastowanego. Agresor bawi się w moralistę, zgorszonego tym, że ktoś bez należytego szacunku odzywa się o uprawianym przez niego rzemiośle napastniczym.

Wszystko to są niezmierne trudności. Niemniej sama sprawa jest jedną z najbardziej zasadniczych. Nie można naprawdę myśleć o trwałym uzdrowieniu stosunków wewnętrznych przy pozostawieniu tego rodzaju swobody polowania na ludzką cześć, na ludzką możność pracy.

Nie chodzi tutaj o proklamowanie fikcyjnych zasad pokoju wewnętrznego, którego wyrazem byłaby standaryzacja myśli i dążeń. Chodzi o coś innego, chodzi o to, by walka polityczna była walką właśnie poglądów, nie ćwiczeniem w sprawniejszym operowaniu zatrutym nożem. Tylko taki stan można uznać za zdrowy i normalny.

Dzisiaj od tego stanu normalnego jesteśmy jeszcze bardzo dalecy. Niemniej sprawa kierunku, w którym będziemy się posuwać, jest sprawą zasadniczej wagi.

×

Mamy do wyboru dwie drogi. Możemy iść w kierunku dżungli, lub w kierunku stopniowego wytwarzania coraz istotniejszych warunków kultury. Na tej drugiej drodze możemy się jednak utrzymać tylko po przez podniesienie w całej naszej zbiorowości poczucia znaczenia ludzkiego honoru, jako najwyższego dobra jednostki, otoczonego szczególną opieką zarówno prawa, jak też — co ważniejsze — zdrowego instynktu moralnego w stosunkach publicznych.

...„Był cień, który biegł koło mnie — to wyprzedzał mnie, to zostawał w tyle. Cieniów takich było mnóstwo, cienie te otaczały mnie zawsze, cienie nieodstępne, chodzące krok w krok, śledzące mnie i przedrzeźniające. Czy na polu bitew, czy w spokojnej pracy w Belwederze, czy w pieszczotach dziecka — cień ten nieodstępny koło mnie ścigał mnie i prześladował. Zapluty, potworny karzeł na krzywych nóżkach, wypluwający swoją brudną duszę, opluwający mnie zewsząd, nie szczędzący niczego, co szczędzić trzeba — rodziny, stosunków, bliskich mi ludzi, śledzący moje kroki, robiący małpie grymasy, przekształcający każdą myśl odwrotnie — ten potworny karzeł pełzał za mną, jak nieodstępny druh, ubrany w chorągiewki różnych typów i kolorów — to obcego, to swego państwa, krzyczący frazesy, wymyślający jakieś niesłychane historie, ten karzeł był moim nieodstępnym druhem, nieodstępnym towarzyszem doli i niedoli, szczęścia i nieszczęścia, zwycięstwa i klęski. Nie sądźcie, panowie, że to jest tylko metafora“...

(Józef Piłsudski: Z przemówienia w „Bristolu“ w dniu 3 lipca r. 1923).

M. Niepołomski

Czechosłowacja i Polska

Sytuacja polityczna Czechosłowacji, w zgodnej ocenie zarówno niechętnych, jak i najżyczliwszych dla państwa Prezydenta Benesza, uchodzi dziś za niezmiernie ciężką, ma w sobie jak gdyby pewien posmak fatalizmu, walki z wyrokami losu.

Legendy i tragedie starożytności znały często tego rodzaju motyw walki z przeznaczeniem, którego tajnie były w taki czy inny sposób odkryte tym, którzy mieli paść ofiarą fatum. Tragizm sytuacji polegał wówczas przede wszystkim na nieuchronności błędów, popełnianych w walce z zaciskającym się łańcuchem wypadków, mających dopełnić przeznaczenia.

Na dzisiejszą fatalną sytuację Czechosłowacji składa się szereg czynników. A więc doraźnie wysoce niewygodne — po Anschlussie — położenie geograficzne i polityczne, posiadanie wysokiego odsetka ludności niemieckiej, szukającego oparcia w zewnętrznej sile szczególnie potężnego sąsiada. Najważniejszym jednak czynnikiem jest cały układ stosunków narodowościowych, niezmiernie trudny do opanowania, do uniknięcia błędów, które — zamiast przeciwstawić się przeznaczeniu— mogą przyczynić się właśnie do wyzwolenia sił fatalnych, niosących wyrok zagłady.

Lecz równocześnie legendy starożytności znały jeszcze i inny motyw konieczny dla biegu wypadków po linii tragicznej: motyw winy. Wypełnienie się wyroków losu nie było tylko wynikiem dowolnej gry i złośliwości sił nadludzkich: było przede wszystkim skutkiem popełnionej kiedyś winy, która mścić się mogła nie tylko na bezpośrednim winowajcy, lecz przynieść zagładę i tym, którzy za daną winę mogli ponieść odpowiedzialność najbardziej nawet daleką i pośrednią.

Jeżeli mówimy o dzisiejszym położeniu Czechosłowacji i jeśli — co wydaje się bezsporne — widzimy wielkie niebezpieczeństwa tego położenia, to trudno zamknąć oczy na fakt, że w danym wypadku moment winy tragicznej występuje z wyjątkową wprost jasnością i wyrazistością.

Dla Polski zagadnienie to jest tym bardziej bliskie i nieobojętne, że wina ta wiąże się bardzo realnie z całym stosunkiem państwa Czeskosłowackiego, ściślej Czeskiego, do Polski i do spraw polskich.

Pomiędzy narodem polskim i narodem czeskim bywały różnymi czasy takie, lub inne, różnice zdań, dysonanse, nawet zdecydowane przeciwieństwa dążeń. Nie sięgając nadmiernie wstecz, ograniczając się do ostatnich dziesięcioleci, wystarczy wspomnieć, że myśmy o naszej niepodległości nie mogli myśleć inaczej, jak tylko po przez klęskę Rosji. Czesi swoją niepodległość, chociaż by nawet okaleczoną, przywykli wiązać z myślą o wzroście znaczenia Rosji w Europie. Różnice te sięgały bardzo istotnych podkładów życia i dążeń obu narodów, były jednak związane z pewnymi momentami przeszłości, dotyczyły, niejako, Europy dnia wczorajszego, Europy z przed roku 1917. Jesień roku 1918, będąca dla obu państw, Polskiego i Czeskiego, wiosną odrodzenia, mogła i powinna była wyzwolić oba narody ze skrępowania stosunków wzajemnych przez tego rodzaju doktryny przeszłości. Istniały warunki, by nowy stosunek wzajemny, już nie dwóch narodów, lecz dwóch państw, oparty został o podłoże daleko idącej i szczerej przyjaźni, która siłę Polski mogła niejako wzmóc o połowę, siłę Czechosłowacji spotęgować trzykrotnie. Zdawało się, że tego rodzaju stosunek wzajemny, w obliczu otwierających się niebezpieczeństw i trudności egzystencji w nowej Europie, powinien być dla obu państw czymś szczególnie cennym i ważnym.

Pierwsze tygodnie zdawały się realizować te hasła. Jednakże już połowa listopada roku 1918 przyniosła poważne komplikacje. Nastąpiła zbrojna inwazja czeska na tereny przyznane poprzednio — w dobrowolnym i bezpośrednim porozumieniu wzajemnym obu narodów — stronie polskiej.

Nie będziemy przypominali tutaj przebiegu tragicznie niepotrzebnego zatargu, zakończonego wyzyskaniem przez przywódców politycznych Narodu Czeskiego decydujących momentów walki Polski o niepodległość w roku 1920 dla wymuszenia od Polski rdzennie i zdecydowanie polskiego obszaru Śląska Cieszyńskiego na rzecz państwa Czeskiego.

Ten sposób załatwienia sprawy granicznej na Śląsku Cieszyńskim, podobnie jak późniejsze zepchnięcie Polski z głównego grzbietu Tatr na linię Żabich Szczytów i biegu potoku Białki, ta wygrana pomyślniejszej wówczas sytuacji politycznej i militarnej Czechosłowacji dla wypaczenia naturalnej i niezmiernie łatwej do wpełni pokojowego ustalenia granicy polsko-czeskiej, to był jeden z podstawowych grzechów, stanowiących tę winę tragiczną Czechosłowacji, która dziś w tak poważny sposób mści się na aktualnej sytuacji politycznej tego bliskiego nam, nietylko geograficznie, lecz i uczuciowo, państwa i narodu.

Wygrane terytorialne Czech na tym odcinku były stosunkowo niewielkie. Wypaczyły jednak całkowicie sytuację polityczną Czechosłowacji. Państwo, którego główną prawdą geograficznego położenia był fakt, że z całej wydłużonej linii granic, poza drobnym skrawkiem granicy rumuńskiej, jeden tylko odcinek graniczny, tysiąckilometrowa granica z Polską, mógł mieć trwale i naprawdę pokojowy, przyjazny i sąsiedzki charakter — przekreśliło całe znaczenie tego faktu. Za drobne skrawki cudzego etnograficznie terytorium wypaczyło istotę tej granicy, zaszczepiło niechęć, nieufność i konflikt tam, gdzie były wszelkie dane po temu, by istniało coś głębszego, niżeli tylko szczera poprawność wzajemnego stosunku.

Lecz cechą złego czynu jest to, że zło w nim zawarte pleni się i rozrasta wielokrotnie. Skutki błędu popełnionego przez Państwo Czeskie w odniesieniu do sposobu wytknięcia granicy polsko-czeskiej nie były ograniczone. Następstwa tego czynu były bardziej jeszcze niebezpieczne, niżeli czyn sam.

Jednym z tych następstw była gwałtowna polityka czechizacji na terenie Śląska Cieszyńskiego. Szło o możliwie szybkie dokonanie takiej przemiany stosunków, któraby zatarłaby niejako nienaturalność stanu, którego cechą było, że po stronie czeskiej, w bezpośrednim sąsiedztwie granicy państwowej, znalazło się 150 — 200.000 ludności polskiej, żyjącej w zwartej masie i stanowiącej wyraźną większość ludności na terenie całych powiatów.

Stan ten uznano za niebezpieczny dla czeskiej racji stanu. Ludność polską w Czechosłowacji usiłowano za wszelką cenę i możliwie najszybciej wynarodowić. W rezultacie ta garść ludności w sposób szczególnie jaskrawy powodowała zwichnięcie całego czeskiego ustawodawstwa narodowościowego.

W odniesieniu do położenia prawnego i faktycznego ludności polskiej na Śląsku za Olzą nieraz spotyka się w Polsce łagodzące i tłumaczące zdanie, że sytuacja tej ludności jest nie gorsza, raczej poważnie lepsza, niżeli sytuacja ludności polskiej w Niemczech. W zdaniu tym zawiera się pewien element prawdy, jednakże bardzo niezupełnej i wybitnie jednostronnej. Nie to bowiem jest ważne dla oceny sprawy położenia ludności polskiej w Czechosłowacji, że są kraje, w których stan zaopatrzenia potrzeb ludności polskiej będzie gorszy, lecz fakt, tym razem bezsporny, że ze wszystkich grup mniejszościowych w Czechosłowacji ludność polska stanowiła zawsze, w latach ostatnich w szczególności, grupę najbardziej prześladowaną, najkonsekwentniej wynaradawianą. Fakt ten nie mógł pozostać bez wpływu na układ stosunków polsko-czeskich, podobnie jak nie mógł nie odbić się na całej linii politycznej Czechosłowacji. W rezultacie można by rzec, że ludzie odpowiedzialni za przyszłość Czech, w wyolbrzymianiu skutków niepotrzebnego i nierozumnego w swym założeniu sporu o Cieszyn i Jabłonkowo, popełniali poważne błędy

w tak ważnym dla całości Czechosłowacji zagadnieniu słowackim, zapominali o Sudetach. Ten stan nie był normalny. Przypomnienie rzeczywistości musiało być przykre i połączone z naturalnym niebezpieczeństwem dla państwa.

Lecz jest jeszcze i inny moment, którego znaczenie w stosunkach polsko - czeskich jest szczególnie duże. Jeślibyśmy nawet kiedykolwiek skłonni byli do zapomnienia o sposobie przeprowadzenia granic, o losie naszej ludności w Czechosłowacji, to nie możemy — bez obawy zapłacenia za to ceną najwyższą — zapomnieć o innym odcinku naszych wzajemnych stosunków.

Wina tragiczna, która legła po stronie czeskiej w momencie wypaczenia naturalnej i pokojowej granicy pomiędzy Polską i Czechosłowacją, miała jeszcze i inne następstwa. Takim następstwem było oparcie całej polityki państwa czesko - słowackiego o najbłędniejszą w znaczeniu politycznym, równocześnie zaś najostrzej i najkonsekwentniej antypolską zasadę dążenia do szukania bezpieczeństwa państwa Czeskiego w koncepcji uzyskania kiedyś w przyszłości wspólnej granicy z następnym na wschód — poza Polską — państwem słowiańskim, z Rosją, czy Ukrainą. Koncepcja ta, będąca reminiscencją odmiennych zupełnie warunków przeszłości, legła najpoważniejszym kamieniem na drodze szczerego i głębokiego porozumienia pomiędzy Polską Józefa Piłsudskiego i państwem Czeskim Massaryka i Benesza.

Polityka polska może mieć takie lub inne zadania poszczególnych okresów. Zasadnicza jednak koncepcja polska normalnego układu stosunków politycznych naszej części Europy, to jest tej części, której zachodnią barierę stanowi dzisiejsze Imperium Narodu Germańskiego, wschodnią — kompleks narodów i państw Z. S. S. R. — musi opierać się o tezę naturalnej i nadrzędnej solidarności państw i narodów położonych wzdłuż *pionowej* osi Europy, od Skandynawii po wybrzeża Morza Czarnego i Adriatyku. Solidarność ta, mająca na celu zabezpieczenie największego dobra każdego państwa, istotnej niezależności, jest niejako nadrzędnym czynnikiem w stosunku do różnic interesów i dążeń państw poszczególnych. Zwycięstwo najogólniej pojętej doktryny tego rodzaju solidarności może być najważniejszym bodaj czynnikiem pokoju europejskiego, opartego o zasadę wolności i samodzielności wszystkich państw, zabezpieczonego od faktycznej czy formalnej hegemonii państw niektórych.

W ten sposób zasadnicze linie polityki polskiej w naszej części Europy idą *wzdłuż linii południkowych*, opierając się o tezę *pionowej* struktury naszej części kontynentu, pionowego kierunku linii łączących. Tej tezie i temu kierunkowi polityka czeska, kierowana przesądem o potrzebie oparcia się o Rosję, przeciwstawiła własną tezę i własną koncepcję, koncepcję zasadniczo przeciwną — równoleżnikowego, poziomego korytarza, mającego przeciąć w tym miejscu Europę, by dać Czechosłowacji wyśnioną możność oparcia się o Rosję, lub — co najmniej — Ukrainę.

Z punktu widzenia istotnych interesów naszej części Europy koncepcje tego rodzaju muszą być uważane za wielki błąd polityczny, z punktu widzenia Polski — za symbol polityki zdecydowanie skierowanej przeciwko nam. To też dla całości stosunków polsko - czeskich moment ten posiada szczególnie doniosłe znaczenie.

Czy jednak tego rodzaju pozornie oderwane koncepcje polityczne miały odbicie w praktycznym układzie wzajemnych stosunków, w szczególności w praktycznej polityce państwa Czeskiego? — Pytanie to nie jest tylko retoryczne, odpowiedź na nie nie jest trudna. Tylko tego rodzaju zasadnicza rozbieżność koncepcji politycznych może tłumaczyć pewne fakty z przeszłości, pozornie niezrozumiałe, jak to, że w okresie zewnętrznie najlepszych stosunków polsko - czeskich, w czasie gdy Benesz gotów był przyśpieszyć swe wyjście z Rady Ligi Narodów, by zrobić w ten sposób miejsce dla Polski — równocześnie na terenie Czechosłowacji pielęgnowano irredentę ukraińską dla Małopolski Wschodniej, wyrzeczono się zaś jej dopiero wówczas, gdy na terenie Z. S. S. R. rozpoczęła się walka z wszelkimi przejawami istotnej samodzielności narodowej i państwowej na Ukrainie Sowieckiej. W tym wypadku ze szczególną jaskrawością wystąpił fakt, przejawiający się systematycznie, że polityka kierowników państwa Czeskiego *nigdy* nie była skłonna do liczenia się z istotnymi interesami Polski, *zawsze* natomiast gotowa była podporządkować się najbardziej nawet fikcyjnym interesom Rosji. Lecz w tych warunkach żądanie ze strony czeskiej, aby Polska skwapliwie nadstawiała uszu na padające niekiedy czułe *słowa*, zamykając równocześnie oczy na stale dokonywujące się *czyny*, było żądaniem jaskrawo przesadnym i nieumotywowanym. Pomiędzy Polską i Czechami politycy prascy budowali systematycznie i z wielkim nakładem energii zapory o charakterze wysoce realnym. Jeśli są w Czechach ludzie, którzy szczerze pragnęliby dążyć do porozumienia polsko - czeskiego, trzeba, by z faktu tego należycie zdawali sobie sprawę.

Przedstawiliśmy tutaj niektóre, najważniejsze fragmenty sprawy wzajemnych stosunków pomiędzy Polską i państwem Czeskim. Nie wyczerpują one zagadnienia. Nie mniej składają się na obraz dość wyrazisty i jaskrawy.

Dlaczego tak się stało? — Dlaczego stosunki pomiędzy dwoma państwami i narodami o wielkiej zbieżności interesów i o naturalnym podkładzie tendencji uczuciowego zbliżenia weszły na drogę, która w konsekwencji doprowadziła jedno z nich, Czechosłowację, do dzisiejszej izolacji faktycznej. Odpowiedź na to pytanie jest dość prosta, wynika z tego, cośmy mówili na wstępie o skutkach tak dobrze znanego z greckich tragedii pojęcia winy tragicznej, jako czynnika, odbierającego w następstwie ludziom możność istotnie niezależnego stawienia czoła biegowi wypadków o charakterze fatalistycznym. Taką winą tragiczną w stosunkach polsko - czeskich stał się fakt przeprowadzenia granicy w sposób wysoce jednostronny, gwałcący prawa i interesy narodowe i polityczne Polski.

Tragedie greckie nie znały naogół rozwiązania pomyślnego. Wina prowadziła zawsze do katastrofy. Mentalność współczesnego Europejczyka daleka jest od tego rodzaju determinizmu. Jednakże warunkiem skutecznego przeciwstawienia się ujemnemu działaniu automatyzmu niezależnych od woli ludzkiej wypadków jest dobry rachunek błędów i silna wola wyzwolenia się spod ich napędu. Czy w państwie Czeskim są dzisiaj czynniki, które byłyby zdolne do dokonania takiego rachunku błędów i wyciągnięcia z nich zdecydowanych i radykalnych wniosków? — Pytanie to — na razie przynajmniej — musi, niestety, pozostać retorycznym.

Zjazd Rady Naczelnej Związku Seniorów O. M. N. i Z. P. M. D.

W dniu 3 kwietnia 1938 r. odbył się w Warszawie Zjazd Rady Naczelnej Związku Seniorów Organizacji Młodzieży Narodowej i Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej przy udziale delegatów z prowincji. Zjazd dokonał wyboru prezydium Rady, do którego weszli, jako przewodniczący Zdzisław Lechnicki, jako wiceprzewodniczący: Stanisław Józef Paprocki oraz Gustaw Zieliński, jako sekretarz Kazimierz Gorzkowski. Po sprawozdaniu organizacyjnym i referacie ideowo-politycznym prezesa Zarządu Głównego Związku Seniorów Tadeusza Katelbacha wywiązała się ożywiona dyskusja, po której Rada jednogłośnie przyjęła rezolucję treści następującej:

„Polska rozwijać się może w pełni tylko jako mocarstwo, Europa weszła w okres wzmożonego dynamizmu narodowo-państwowego. Aby dotrzymać kroku innym narodom, Polska zdobyć się musi na odpowiedni dynamizm. W dążeniu do celów rozwojowych Polski konieczny jest zdobywczy jej stosunek do świata zewnętrznego, jeżeli nie w znaczeniu terytorialnym, to w każdym razie w znaczeniu zwiększenia międzynarodowej roli Rzeczypospolitej. Naturalnym dziejowym dążeniem Polski jest, aby sąsiednie państwa i narody, położone na ziemiach między morzami Bałtyckim i Czarnym, skupiły się dokoła niej w imię wspólnego celu — zyskania warunków swobodnego rozwoju. W przeprowadzeniu normalizacji stosunków polsko-litewskich widzimy realny krok na drodze ku temu. Zdynamizowanie Narodu Polskiego wymaga rozbudzenia wewnętrznych sił moralnych Polski, tkwiących w najszerszych warstwach społeczeństwa, w zbiorowym wszechstronnym wysiłku na rzecz potęgi i wielkości Rzplitej".

Poza tym Rada Naczelna omawiała zagadnienie Zw. Młodzieży akademickiej.

Władysław Mazurkiewicz

Hiszpania

Z niezwykłym zainteresowaniem, połączonym z niepokojem, śledzi świat cały wypadki, których terenem jest od półtora roku Hiszpania; uwaga jednak jego skoncentrowana jest przede wszystkim na znaczeniu, jakie wojna domowa w Hiszpanii może mieć dla rozwoju polityki europejskiej w ogóle, na wpływie tych wypadków na stanowisko wielkich mocarstw, w szczególności zaś na rozgrywce pomiędzy komunizmem i faszyzmem, jaka towarzyszy krwawym rozprawom na polach Hiszpanii.

Natomiast mniej uwagi poświęca się zrozumieniu podstaw psychicznych tej walki, zbadaniu tajemniczych głębi duszy hiszpańskiego narodu, która nie od dziś stanowi zagadkę dla Europy.

Czym jest Hiszpania? Czym jest dusza tego ludu, pełna niesłychanych kontrastów, niespodzianek? W jakim stopniu Hiszpania jest krajem europejskim, objętym kulturą zachodnią?

Pytania te cisną się na usta każdemu, kto nie zadawala się li tylko informacjami o tych czy innych posunięciach wojsk czerwonych i narodowych, o takich czy innych zamierzeniach państw europejskich, każdemu, dla którego Hiszpania nie jest tylko obiektem, eksperymentem, piłką na szachownicy europejskiej, ale krajem o zupełnie swoistej fizjonomii, o swoistych cechach kultury, jednym słowem, jeśli się tak można wyrazić, „indywidualnością sui generis", o której sąd europejczyka jest nieraz zupełnie powierzchowny, bądź zgoła fałszywy.

Czy Hiszpania należy raczej do Afryki czy do Europy, pod tym względem istnieje rozbieżność poglądów. Ci, którzy hołdują hipotezie, iż pierwotni mieszkańcy Hiszpanii Iberowie byli pochodzenia afrykańskiego (Chamici), uważają Hiszpanię za przedłużenie Afryki, przytaczając na dowód tego, iż charakter hiszpański zbliżony jest raczej do charakteru ludów afrykańskich.

Zapytany Unamuno czy należy zeuropeizować Hiszpanię, czy ją zafrykanizować, odparł: „Nie potrzeba Hiszpanii europeizować ani afrykanizować, należy zhiszpanizować Europę". Paradoksalne to twierdzenie oznacza, że zdaniem Unamuno Hszpania jest czymś swoistym, czymś co nie da się wcisnąć ani w ramy Europy, ani w ramy afrykańskie. Najsłuszniej jest uważać Hiszpanię za kraj przejściowy pomiędzy Europą i Afryką, kraj na rubieży dwóch kultur, dwóch cywilizacji, istnieje tu pewna analogia z Rosją, krajem częściowo europejskim częściowo zaś azjatyckim, analogia, która uwydatnia się jeszcze bardziej, jeśli się zważy, iż podobnie jak Hiszpania w ciągu 8-miu wieków znajdowała się pod panowaniem Maurów, tak Rosja przez szereg wieków uginała się pod jarzmem tatarskim. Niewątpliwie panowanie Maurów miało charakter znacznie łagodniejszy, ale i w jednym i w drugim wypadku wpływ na daną społeczność ujawnił się w spotęgowaniu się w jej rozwoju kulturalnym pierwiastków pozaeuropejskich — jednym słowem — w odsunięciu jej od cywilizacji zachodniej.

Na sformowanie tego, co możemy nazwać charakterem, psychiką, duszą hiszpańską, a z czym wiąże się kultura tego niezwykłego kraju, złożył się szereg elementów etnicznych, a więc w pierwszym rzędzie wspomniani już Iberowie, za których potomków czystej krwi uważają się zachowujący dotąd swój odrębny język, zwyczaje i fizjonomię Baskowie. Jeżeli uznać Iberów za przynależnych do szczepów afrykańskich, to przeciwstawieniem ich będą Celtowie, którzy na szereg wieków przed Chrystusem wtargnęli na półwysep Iberyjski, rozciągając tam swoje wpływy i tworząc typ celto-iberyjski w środkowej części Hiszpanii, uważany za główny pień narodu hiszpańskiego. Obok Celtów widzimy też w Hiszpanii Greków i Kartagińczyków. W III-cim wieku przed Chrystusem opanowują Hiszpanię po 200-letniej walce Rzymianie i władają nią jako swoją prowincją do V-go w. po Chrystusie, narzucając jej swoją kulturę, przede wszystkim zaś język. Po upadku Cesarstwa Rzymskiego przedostają się do Hiszpanii plemiona germańskie, w pierwszym rzędzie Wizygoci; jednocześnie przenika do tego kraju chrześcijaństwo i kultura chrześcijańska, które tak wielki wpływ miały wywrzeć na dzieje i psychikę narodu.

Wreszcie w 711 r. Hiszpania dostaje się pod panowanie przybyłych z Afryki Maurów, którzy dopiero po 8-miu wiekach nieustannych prawie walk wyparci zostają, tracąc swój ostatni bastion — Grenadę.

Niewątpliwie te osiem wieków współżycia z ludem o światopoglądzie mahometańskim wywiera silny wpływ na psychikę narodu hiszpańskiego, nie mówiąc już o pomieszaniu się krwi. Pomimo ciągłych walk prowadzonych przez północne części Hiszpanii, rozbite na szereg niezależnych państewek, z najeźdźcami — współżycie pomiędzy Hiszpanami i Arabami było na ogół znośne, wywierając swoje wpływy w formie pokojowej. Nie rzadkie były wypadki przechodzenia chrześcijan na mahometanizm, a wpływ kultury arabskiej, która o ile chodzi o niektóre nauki (medycyna, astrologia, nauki przyrodzone) doszła do dość wysokiego stopnia rozwoju, był znaczny, nie tylko w tych ziemiach Hiszpanii, które bezpośrednio znajdowały się pod panowaniem Maurów, ale i na północy, gdzie zachowała się względna niezależność.

Wreszcie silna była również domieszka i wpływów semickich ze względu na wielkie ilości Żydów i zajmowane przez nich w rządzie i społeczeństwie stanowisko — kres temu położyła Izabella przez wypędzenie Żydów, niemniej jednak pewna domieszka krwi semickiej w typie hiszpańskim, spowodowana długowiekowym współżyciem z Żydami, zachowała się do dnia dzisiejszego.

Tak więc widzimy, że na formowanie się psychiki hiszpańskiej wpłynęły pierwiastki etniczne afrykańskie, celtyckie, łacińskie, germańskie, maurytańskie i semickie, — nic dziwnego, że z tego pomieszania powstała dusza, powstał kraj pełen kontrastów. Z jednej strony silne skłonności mistyczne, surowe, ponure i ascetyczne ujmowanie życia, z drugiej — daleko idąca zmysłowość, wybujały, pełen fantazji temperament, upodobanie do zewnętrznego przepychu, kipiące i dyszące chęcią użycia życia. Z jednej strony ludzkie, humanitarne i pełne litości podejście do człowieka, instynkt braterski w stosunku do bliźniego, chęć podzielenia się z nim tym co się posiada, z drugiej krwiożerczość, dochodząca do niesłychanego nieraz okrucieństwa. Z jednej strony idealizm, który graniczy niekiedy z szaleństwem, dopatrując się w ideale czegoś naprawdę realnego (patrz Don Kichot) — z drugiej realizm graniczący z materializmem.

Obok tych kontrastów — krańcowość w uczuciach, krańcowość w ujmowaniu problemów, krańcowość w obronie swych poglądów, brak umiaru. Być może, jak to mówi Madariaga, cechą najbardziej charakterystyczną „idee maitresse" psychiki hiszpańskiej jest namiętność „la pasion" — namiętność w tym czy innym kierunku, która owłada całym jestestwem, odrzucając na bok wszelkie rozumowania, która chwyta w kleszcze i pcha z żywiołową siłą naprzód. Tym się tłumaczy, że ten sam człowiek, który w życiu codziennym w sposób jak najbardziej ludzki i wyrozumiały postępuje ze swym bliźnim, w momencie wytrącenia z równowagi, w momencie, gdy go ogarnie ta wielka namiętność, która pcha go bez zastanowienia przed siebie, gotów jest niszczyć, palić, tratować wszystko co mu stoi na drodze i dopuszczać się największych okrucieństw. To nam wyjaśnia też objawy niezwykłego heroizmu i poświęcenia, brawury i męstwa, które cechują charakter hiszpański, ale to wyjaśnia również pasywność, bierność i lenistwo, które stanowią właściwości tego charakteru. W samej rzeczy dusza hiszpańska pogrążona bywa zwykle w stanie sennym, w stanie kontemplacji. Na to, ażeby ją obudzić, ażeby nią wstrząsnąć, ażeby

pchnąć ją do czynu — potrzeba czegoś potężnego, jakiejś wszystko ogarniającej namiętności.

Hiszpan nie jest uczuciowy, miłość Hiszpana to chęć całkowitego posiadania, całkowitego zespolenia się z przedmiotem ukochanym (stąd chorobliwa zazdrość), to z jednej strony zmysły, wybuchające z pierwotną siłą żywiołową, a z drugiej ekstaza, kontemplacja wobec osoby ukochanej.

Istnieje w języku hiszpańskim wyrażenie, które dość wiernie oddaje tę cechę charakteru hiszpańskiego, polegającą na całkowitym oddaniu się jakiejś namiętności — „jugar el todo por el todo" — postawić wszystko na jedną kartę, nie licząc się z konsekwencjami, z trudnościami, z rozsądkiem!

Drugą cechą psychiki hiszpańskiej, która odgrywa tak ogromną rolę w życiu państwowym i społecznym tego kraju, to jak najdalej posunięty indywidualizm, który w krańcowym swym rozwoju doprowadza do anarchizmu, tj. negacji wszelkich więzów społecznych i państwowych. Dla Hiszpana jedną z najtrudniejszych rzeczy jest poddanie się pewnym więzom, wynikającym z życia w społeczeństwie, stąd całkowity brak zmysłu organizacyjnego, słabość tworzonych przezeń organizacji społecznych lub politycznych, brak dyscypliny. Ta cecha oddziaływa rozsadzająco na państwo i powoduje, iż zdaniem niektórych obserwatorów życia hiszpańskiego, jak np. Roberta Waldteufela, Hiszpan pozbawiony jest prawdziwego patriotyzmu. Pomimo krańcowości tego poglądu, jest faktem, iż ów wybujały indywidualizm, wyradzający się łatwo w anarchizm, powoduje również daleko idący partykularyzm, który ujawnia się w dążeniach poszczególnych prowincyj, nieraz z wielką szkodą dla państwa, do całkowitego zachowania swych odrębności, do zapewnienia sobie maximum samodzielności, co w dalszej konsekwencji prowadzi do separatyzmu.

Istniejąca pomiędzy poszczególnymi częściami Hiszpanii spójnia nie jest dostatecznie trwała; prądy autonomiczne i separatystyczne, niekiedy uśpione, odzywają się i wybuchają nagle z całą siłą, rozsadzając państwo i powodując dezorganizację jego aparatu.

Być może jednym z powodów tego jest brak istotnego niebezpieczeństwa z zewnątrz, które by zmusiło cały naród do zespolenia się i skupienia w jeden zwarty organizm.

Indywidualizm ów doprowadza do tego, że Hiszpan jest przede wszystkim człowiekiem, następnie dopiero obywatelem swego państwa. Wszystkie sprawy rozpatruje pod kątem widzenia stosunku człowieka do człowieka, nie człowieka do sprawy. Znana jest nie tylko w Hiszpanii, ale i w Ameryce Południowej, właściwość rasy hiszpańskiej układania stosunków do spraw na gruncie przyjaźni, lub niechęci osobistych. Chcąc załatwić jakąś sprawę, należy przede wszystkim wytworzyć stosunek przyjacielski.

Stąd też lekceważenie przepisów, ustaw, nie wyłączając konstytucji. Stąd personalizm w polityce, polegający na tym, że ludzie grupują się około pewnej osobistości i że rzeczą mniej istotną są programy, najważniejszą osoba, która stoi na czele. Pociąga to za sobą kult jednostki i skłonność, np. w krajach Ameryki hiszpańskiej, do poddawania się woli dyktatora, który jednak zawsze dzisiaj może być bożyszczem tłumu, jutro spaść z piedestału, dzisiaj rzucają mu kwiaty pod nogi, jutro mogą go oplwać i ukamienować. Wynika to też z owej cechy charakteru hiszpańskiego, którą określiliśmy jako dominowanie w psychice tego narodu — namiętności.

Ów personalizm prowadzi do przewagi w życiu politycznym, szczególnie prowincjonalnym, ludzi, którzy zdobyli sobie nieograniczony wpływ w danym okręgu i których woli wszystko ulega. Oni to zarówno w Hiszpanii, jak w szeregu krajów Ameryki Południowej, są czynnikami decydującymi podczas wyborów i wystarczy ich zjednać, ażeby zapewnić sobie zwycięstwo.

Indywidualizm jest związany również z owym umiłowaniem wolności, które jest właściwe wszystkim klasom społecznym w Hiszpanii. Chłop hiszpański, aczkolwiek ciemny i niewykształcony, nigdy nie znajdował się w stanie takiego niewolnictwa, jak to miało miejsce w innych krajach europejskich. Pomiędzy psychiką chłopa i pana nie było bynajmniej tak wielkich różnic. To pojęcie wolności nie jest może identyczne z tym, co zwykliśmy pod tym rozumieć, o ile chodzi o stosunki czysto europejskie, tj. wolny i swobodny wpływ na rządy w kraju. Jeśli chodzi o lud hiszpański, to aspiracje jego przeważnie nie idą tak daleko, pragnie on wolności w tym ciasnym kółku, który jest jego światem,— rodzina, gospodarstwo, miejscowość, w której zamieszkuje.

Wreszcie trzecią dominującą cechą charakteru hiszpańskiego jest pojęcie honoru. Honor stoi wyżej niż życie ludzkie. Zabójstwo w obronie honoru (nie tylko w pojedynku) do dziś jeszcze nie jest bynajmniej zabójstwem, lecz spełnieniem obowiązku lub nawet czynem heroicznym. — Oddanie zaś własnego życia w ofierze honorowi jest wyrazem męskości w całym tego słowa znaczeniu (Hombria).

Przesadne nieraz pojęcie honoru w związku z rolą polityczną, jaką w ciągu kilku wieków danym było odgrywać Hiszpanii, wytworzyło ową dumę, przechodzącą niekiedy w pychę, cechującą Hiszpanów. Obok tego jednak ujawniło się poczucie dostojeństwa, które jest właściwe nie tylko Hiszpanom, zajmującym pewne stanowisko, lecz przede wszystkim ludowi hiszpańskiemu. Lud ten, pomimo braku wykształcenia, posiada wielkie zalety — niezmiernie dużo godności osobistej, zdrowego rozsądku i tej specyficznej mądrości ludowej, cechuje go też grzeczność i swoboda — stwierdzają to wszyscy, którzy się z nim stykali. Wewnętrzna kultura ludu hiszpańskiego jest bardzo wielka, większa niż w szeregu krajów europejskich, stojących na znacznie wyższym poziomie cywilizacji i rozwoju. Pomiędzy ludem jednak i t. zw. klasami oświeconymi nie ma dostatecznej spójni — lud stoi na uboczu, wyzyskiwany i eksploatowany dla celów politycznych, do czego niewątpliwie przyczynia się niskim poziom oświaty wśród mas ludowych. Zasklepiony w swoim życiu wewnętrznym i w ciasnym kółku, w którym się obraca, lud ten jest wybitnie konserwatywny, z czym każdy reformator hiszpański liczyć się winien.

Obok tych cech charakteru, które naszkicowaliśmy pokrótce, na rzeczywistość hiszpańską miały wpływ zasadniczy pewne momenty, wysuwające się na czoło historii tego kraju. O jednym z nich — o opanowaniu Hiszpanii przez Maurów była już mowa.

Jeżeli z jednej strony panowanie Maurów było tym silnym powiewem afrykańskim, który przeniknął w życie hiszpańskie z całym swoim wschodnim przepychem, zmysłowością i światopoglądem mahometańskim, to konstrastem jego był katolicyzm, który stworzył tę więź duchową i organizacyjną, stanowiącą najsilniejszy łącznik pomiędzy opornymi na wszelkie wiązanie się Hiszpanami. Jest rzeczą charakterystyczną, że katolicyzm w Hiszpanii z religii opartej przede wszystkim na miłości, pełnej momentów pogody i słoneczności, o silnych pierwiastkach współżycia społecznego, stał się religią ascetów, samotników, surową i ponurą, opartą raczej na dogmatach niż na miłości, niewyrozumiałą, z jakimś odcieniem tragizmu, którego najmocniejszym wyrazem była specyficznie hiszpańska, gdyż potępiona przez Papieży, inkwizycja. Widzimy tutaj ową cechę zasadniczą charakteru hiszpańskiego — oddanie się namiętności, która opanowując pod względem religijnym szerokie masy społeczeństwa hiszpańskiego, przeobraziła się w fanatyzm, który z najgłębszym przekonaniem kazał palić na stosie tych, którzy ośmielili się wykroczyć przeciwko uznanym powszechnie zasadom. Niewątpliwie inkwizycja hiszpańska była też środkiem politycznym, jednoczącym Hiszpanię i niedopuszczającym do wewnętrznych walk religijnych. Religia katolicka odegrała na ogół doniosłą rolę w zespoleniu się narodu hiszpańskiego. Walki przeciwko Maurom były prowadzone przede wszystkim pod hasłem religii, za czym dopiero szła idea narodowa. Idea religijna i idea narodowa zlały się razem. Za czasów Karola V, a bardziej jeszcze Filipa II, owego fanatyka na tronie, Hiszpania występuje jako szermierz idei katolickiej, jako rycerz w obronie jednej wiary, pragnąc przez zwycięstwo tej idei zjednoczyć cały świat. Nawet wyprawa Kolumba, który udał się na poszukiwanie drogi do Indii i odkrył nowy wielki kontynent, miała w sobie również cele religijne.

Odkrycie Ameryki i stworzenie przez Hiszpanię olbrzymiego państwa kolonialnego było niewątpliwie tym wspaniałym wyczynem, w którym misja dziejowa Hisz-

panii osiągnęła najpełniejszy wyraz. Nie zajmujemy się tu ani systemem rządów w koloniach, ani ich rozwojem, nie mniej musimy skonstatować, że opanowanie przez garść śmiałych awanturników i niosących słowo Boże z krzyżem w ręku misjonarzy całego kontynentu i przeszczepienie na grunt jego kultury hiszpańskiej — było wielką epopeją, która unieśmiertelniła na zawsze imię hiszpańskie.

Moment jednak wielkości Hiszpanii był stosunkowo krótki, już od r. 1588 tj. od zniszczenia t. zw. Wielkiej Armady rozpoczyna się dekadencja Hiszpanii, która szczególnie silnie uwydatnia się w wieku XIX, gdy Hiszpania traci jedną za drugą kolonię amerykańską, aż wreszcie w r. 1898 po klęsce w wojnie ze Stanami Zjednoczonymi pozbawiona zostaje ostatniej swej posiadłości na kontynencie amerykańskim — Kuby.

Ten daleko idący indywidualizm, o którym mówiliśmy wyżej, brak metody, brak dyscypliny, brak zmysłu organizacyjnego — wszystko to powodowało, że jedność Hiszpanii poza momentem zwycięstwa nad Maurami, dokonanego przez Izabellę i Ferdynanda, była stale dziełem dynastii obcych — do r. 1700 Habsburgów i od r. 1700 — Burbonów, przyczym dynastie te, szczególnie trzeba to powiedzieć o Burbonach, nie potrafiły dostatecznie głęboko przeniknąć w duszę narodu hiszpańskiego, narzucając mu nieraz obce i niezrozumiałe wzory. Jednym z tragicznych nieporozumień w życiu Hiszpanii była chęć zaszczepienia w tym kraju w sposób nieraz nieodpowiedni, nie liczący się z jego właściwościami i ze stanem kultury, obcych idei i form idących z kontynentu Europy. Czyniły to zarówno sfery rządzące, jak w większym jeszcze stopniu sfery intelektualne, co szczególnie uwydatniało się w momentach, gdy sfery te były u władzy. Widzimy tu znów pewną analogię ze stosunkami rosyjskimi.

W ten sposób nie tylko nie przyczyniano się do wzmocnienia bardzo słabego organizmu państwowego, ale wprowadzano doń chaos. W tym stanie rzeczy jedynymi naprawdę zorganizowanymi czynnikami w życiu Hiszpanii stały się kościół i wojsko. Kościół reprezentujący sobą głębokie tradycje katolickiej Hiszpanii, niestety, nie zawsze w sposób właściwy, i wojsko reprezentujące tradycje honoru i rycerskości, zbaczające jednak również często z właściwej drogi.

Żyjąca snami o swej dawnej wielkości, szukająca bez ustanku dróg do zrealizowania rzekomych przeznaczeń, Hiszpania po ciągłych szamotaniach się wewnętrznych w ciągu XIX i początków XX wieku znalazła się po upadku monarchii na rozdrożu.

Jeśli zastanawiamy się nad tą krwawą walką, jaka toczy się w Hiszpanii i staramy się uchwycić jej związek z tym, co było powiadziane wyżej o psychice hiszpańskiej i o momentach rozwojowych narodu hiszpańskiego, zrozumiałą stają się dla nas niesłychana zaciętość tej walki, okrucieństwa, które ją cechują; zarówno bowiem jedną, jak i drugą stronę owładnęła pochłaniająca je całkowicie namiętność — „la pasion" — o której mówiliśmy wyżej i która widzi największe dobro w zniweczeniu i doszczętnym unicestwieniu tych i tego, co staje na drodze do realizacji wytkniętych przez nią celów.

Stają nam przed oczyma krwawe i wyrafinowane w okrucieństwie rozprawy, jakie miały miejsce podczas 9-cio wiekowego panowania Maurów i walk z nimi prowadzonych, przypomina nam się fanatyzm ujawniony podczas inkwizycji. A gdy schylimy czoło przed bohaterstwem wielu epizodów walki, to zdajemy sobie sprawę, że wchodzi tu w grę drugi potężny pierwiastek, tkwiący w duszy hiszpańskiej — honor ponad wszystko!

Postarajmy się sięgnąć do powodów tej bratobójczej walki, gdyż pomimo wszelkich wpływów i interwencji zagranicznych Hiszpanie nie są narzędziem w tej walce, lecz biją się z całą świadomością o swoje ideały.

Z chwilą, gdy upadła monarchia, rozluźniła się spójność organizmu państwowego hiszpańskiego, nie trzymane na wodzy indywidualizmy, anarchizmy i partykularyzmy wystąpiły w całej pełni i zaczęły rozsadzać ów organizm. Z drugiej strony stojący na czele republiki intelektualiści i profesorowie (mamy tu znów pewną analogię z Rosją), nie licząc się dostatecznie z psychiką ludu hiszpańskiego, z jego właściwościami, jego niedostateczną europejskością i niskim poziomem oświaty, zaczęli na gwałt zaszczepiać na gruncie hiszpańskim w sposób nieraz krańcowy różnego rodzaju idee, instytucje i urządzenia europejskie, raniąc nieraz boleśnie głęboko zakorzenione zwyczaje, wierzenia i poglądy.

To łamanie, niweczenie, nieraz może w najlepszej wierze, przeszłości, chęć stworzenia ze wszystkiego tabula rasa i wzniesienia jakiegoś rzekomo idealnego, opartego nie na rzeczywistości ale stworzonego w gabinetach, gmachu społecznego i państwowego obok braku odpowiedniego autorytetu, jakim bądź co bądź był król, postawienie na jego miejsce szeregu autorytetów w postaci różnych leaderów partyjnych, musiało doprowadzić do katastrofy. Obok tego zupełnie niewłaściwy ustrój konstytucyjny, wzorowany na konstytucji francuskiej, przy większym jeszcze jej zliberalizowaniu, dla kraju wymagającego silnej władzy, silnego autorytetu, doprowadził do rozproszkowania społeczeństwa i do zupełnego niemal zaniku rządu we właściwym tego słowa znaczeniu.

Oczywiście do wybuchu przyczyniły się też w znacznym stopniu wpływy i propaganda komunistyczna, która wybrała Hiszpanię za teren eksperymentów, Hiszpanię, która pomimo, jak to zaznaczono wyżej, pewnego podobieństwa z Rosją, nie nadaje się do tego eksperymentu na dłuższą metę; komunizm bowiem sprzeczny jest z duszą narodu hiszpańskiego. Obok podobieństw zachodzi bowiem zasadnicza różnica pomiędzy Hiszpanią i Rosją, — jest nią lud hiszpański, który, acz pozbawiony oświaty, daleki jest od służalczości i niewolniczości ludu rosyjskiego. O ludzie tym mówiłem wyżej — jego poczucie własnej godności, jego umiłowanie swobody stanowią najlepszą gwarancję przeciwko utrwaleniu się ustroju komunistycznego w tym kraju.

Hiszpania rozbiła się na dwa obozy — po jednej stronie stanęły tradycyjne siły organizacyjne Hiszpanii — kościół i wojsko, po drugiej elementy, dążące do gwałtownych przewrotów, wszystko jedno czy na polu państwowym (a więc elementy separatystyczne), czy na polu społecznym (elementy socjalistyczne), czy na polu politycznym (elementy komunistyczne i anarchistyczne) — jedni walczą w imię zachowania wielkich tradycyj hiszpańskich, drudzy w imię nowego, sprawiedliwszego, jak im się zdaje, ustroju.

Za obozem narodowym stoją tradycyjne siły Hiszpanii, siły te jednak nie powinny zapominać, że nie zdały one egzaminu w ciągu ostatnich wieków historii tego kraju, miały one wszak w ciągu ostatniego stulecia nie raz decydujące wpływy na rządy, co jednak nie wywołało niezbędnych zmian i nie dało zadawalających rezultatów. Toteż zwycięstwo wojska narodowego w Hiszpanii przyniesie o tyle uspokojenie i lepszą przyszłość dla tego nieszczęśliwego narodu, o ile zwycięzcy, bez przeszczepiania na grunt Hiszpanii obcych wzorów, czy to będzie komunizm, czy faszyzm, będą umieli wziąć na siebie zadanie poprawy bytu wielkich mas ludu, podniesienia ich i związania z życiem państwowym. Lud hiszpański, posiadający wielkie walory, musi być pozyskany jako świadomy czynnik życia państwowego nie za pomocą różnych eksploatujących go nieraz „kacyków", ale bezpośrednio, musi on wyrobić w sobie dostateczne poczucie obywatelstwa, odpowiedzialność za losy całego państwa, której mu dzisiaj brak.

Nie wchodząc w możliwości i ocenę przyszłego ustroju politycznego Hiszpanii, należy zaznaczyć, że kraj ten potrzebuje jakiegoś widomego łącznika, potrzebuje wielkiego autorytetu, potrzebuje silnej jednostki, około której mógłby się skupić. Owa jednostka, czy też silny rząd, musi ukrócić zbyt wybujałe indywidualizmy, separatyzmy i partykularyzmy, nie może jednak opierać się na rządach kliki lecz musi sięgnąć jak najgłębiej do warstw ludowych i przez zajęcie się ich losem przywiązać je mocno do państwa.

Jeżeli ukrócenie zbytnich indywidualizmów i partyjnictwa było nieodzownym warunkiem rozwoju Polski, jako potężnego państwa, to tym bardziej da się to powiedzieć o Hiszpanii, gdzie występuje obok pewnych właściwości, zbliżonych do charakteru polskiego, zjawisko daleko idących partykularyzmów i separatyzmów dzielnicowych, czego na szczęście u nas brak.

Witold Sommer

Reforma finansów samorządowych

Zagadnienie reformy finansów samorządowych posiada dzisiaj obszerną już historię. O reformie pisze się w fachowych czasopismach komunalnych, mówi na posiedzeniach izb ustawodawczych, w uchwałach związków samorządowych. Rok 1937 wykazał w tym względzie szczególnie żywą aktywność czynników zainteresowanych w związku z wniesionymi projektami ustaw o poprawie finansów komunalnych. Zadaniem niniejszego artykułu będzie zebranie i usystematyzowanie wypowiedzianych uwag i opinij.

Punkt ciężkości zagadnienia leży w odpowiedzi na trzy zasadnicze pytania: Jakie są zadania samorządu terytorialnego? Jakie środki w chwili bieżącej posiada samorząd w swej dyspozycji dla wypełnienia nałożonych nań zadań? Jakich przesunięć trzeba dokonać, aby środki odpowiadały zadaniom?

Odnośnie pierwszej sprawy nie ma jakichś bardziej istotnych różnic w poglądach. Ustawa o częściowej zmianie samorządu terytorialnego z r. 1933, idąc po linii od dawna już uznanej za właściwą w państwach zachodnio-europejskich, uważa samorząd za dalszy ciąg administracji rządowej. Pod względem sposobu działania — z uwagi na istotny i bezpośredni współudział miejscowego czynnika obywatelskiego i stosunkowo dużą samodzielność w zarządzaniu sprawami natury lokalnej w ogólnych ramach prawnych — może samorząd dość wyraźnie wyodrębniać się z całości administracji państwowej. Nie ma tych różnic, jeśli idzie o zadania.

Budowa szkół powszechnych, wodociągi, kanalizacja, zaopatrzenie miast w elektryczność, całość spraw związanych ze zdrowiem publicznym i opieką społeczną oraz szereg spraw tym podobnych, posiadają pierwszorzędne znaczenie państwowe i żadną miarą nie mogą być zapoznawane tylko dlatego, że państwo nie zajmuje się nimi bezpośrednio. Niewątpliwie nowowybudowana szkoła czy wodociąg ma przede wszystkim znaczenie dla miejscowej ludności. Jeżeli jednak spojrzymy na samorząd jako całość, nie sposób odmówić zadaniom przez niego spełnianym wagi ogólnopaństwowej. Państwo musi dbać, aby wszyscy jego obywatele mieli możność osiągnięcia choćby pierwszego podstawowego stopnia wykształcenia, mieli zapewnione higieniczne warunki życia, pomoc zdrowotną itd.

Co więcej — rozwój stosunków społecznych, kulturalnych i gospodarczych rozmaicie kształtował się na ziemiach Rzeczypospolitej w okresie zaborów. Zachodzi więc potrzeba wyrównania zaległości — a to jest wykonalne między innymi przy znacznym zintensyfikowaniu działalności samorządu terenów zacofanych. Jeśli nie jest tego w stanie wykonać samorząd, nie może od tego obowiązku uchylić się państwo.

O podziale zadań między państwo a samorząd rozstrzyga inne kryterium aniżeli ważności dla państwa. Jak pisze w „Samorządzie Terytorialnym" (Nr 3/4 r. 1937) min. Jaroszyński „o tym, jakie potrzeby publiczne ma zaspokoić samorząd, jakie zaś aparat rządowy, decyduje z reguły przewidywanie, że ze względu na swą naturę i strukturę jedne potrzeby zaspokoi lepiej pierwszy czynnik, a inne lepiej czynnik drugi".

Ogrom i różnorodność zadań, obejmujących całość życia społecznego, wymagał, aby samorządowi przydzielić odpowiednie źródła dochodów. Już pierwotne podstawy finansowe, jakie otrzymał samorząd, okazały się w szeregu wypadków niedostateczne. Ewolucja zaś, jakiej ulegały stosunki finansowe samorządu w okresie lat kryzysowych, tak dalece pogorszyły sytuację samorządu, że dzisiaj — wyjąwszy bardziej zasobne związki samorządowe, przeważnie województw zachodnich — nie bierze on żadnego udziału w ogólnym rozwoju koniunktury.

Dotknijmy zagadnień szczegółowych.

Przede wszystkim istnieją bardzo duże różnice między dochodami poszczególnych związków samorządowych. Szczególnie występuje ta różnorodność w stosunku do miast. Wielkość miasta, posiadanie na swym terenie zakładów przemysłowych i handlowych, władz wyższych instancji, ogólnie biorąc liczba i zamożność ludności, zarówno jako płatnika podatkowego, jak i konsumenta, korzystającego z zakładów i przedsiębiorstw miejskich, wszystko to są czynniki w sposób zasadniczy wpływające na stronę dochodową finansów miejskich. Biorąc pod uwagę rok budżetowy 1936-7 miasta niewydzielone województwa śląskiego preliminowały na jednego mieszkańca dochodów czterokrotnie więcej niż takież miasta województw wschodnich i centralnych. Znalazło to swój wyraz w wydatkach na inwestycje, które przeciętnie na jednego mieszkańca w miastach na terenie poszczególnych województw wahają się o 2,50 zł do 19 zł rocznie, przy czym dla miast najmniejszych (poniżej 5.000 mieszkańców) rozpiętość pomiędzy przeciętnymi wynosi od 3 gr do 11,24 zł (na Śląsku). („Samorząd Miejski" Nr 1/2 r. 1938).

Znaczne różnice wykazują także dochody miast wydzielonych i to największych. Analiza sprawozdań rachunkowych za rok 1936-7 wykazuje, że np. Kraków i Poznań osiągnęły dochody w wysokości mniej więcej 70 zł na jednego mieszkańca, podczas gdy dochody Łodzi wynosiły tylko 40 zł na jednego mieszkańca.

Podobne — jakkolwiek w mniejszej skali — zróżniczkowanie wykazują dochody powiatowych związków samorządowych i gmin wiejskich. Niekiedy wiąże się to ze strukturą pewnych podatków. Np. z tytułu państwowego podatku gruntowego, od którego pobierają związki samorządowe dodatek, w powiatach podstołecznych dla lepszych ziem stawka wynosi przeciętnie 7,50 zł z hektara, podczas gdy w znacznej ilości powiatów województw wschodnich stawka waha się koło jednego złotego z ha dla tych samych gruntów.

W rezultacie cały szereg związków samorządowych cierpi na deficyt budżetowy i to nie tylko koniunkturalny, spowodowany przez chwilowe pogorszenie sytuacji finansowej związków na skutek kryzysu, ale strukturalny, stały. Ze sprawozdania Centralnej Komisji Oszczędnościowo - Oddłużeniowego dla Samorządu wynika, że strukturę deficytową posiadają finanse 22 powiatowych związków samorządowych, 82 miast, z czego większość stanowią miasta najmniejsze, oraz duża ilość gmin. Dysproporcja pomiędzy dochodami tych związków samorządowych a zadaniami, jakie nałożyło na nie państwo, nie może być usunięta inaczej, jak przez odpowiednie dotacje ze Skarbu Państwa; na kredyt prywatny nie można w tym wypadku liczyć.

Obecnie samorząd posiada dwa główne źródła kredytów. Pierwsze to Komunalny Fundusz Pożyczkowo - Zapomogowy, przeznaczony w pierwszym rzędzie dla finansowania inwestycji nierentownych jak szpitale, szkoły itp. Ponieważ zbierane przezeń z pewnych podatków fundusze okazały się niedostateczne, zaangażowano w akcji inwestycyjnej samorządu Fundusz Pracy. Skutki tej pomocy nie zawsze były dla samorządu korzystne. Dotacje Funduszu Pracy bywały niejednokrotnie dawane w ten sposób, że nie można było przygotować dobrze przemyślanego planu technicznego, wymagały dopłat ze strony samorządu przewyższających dotację, bądź też narzucały nierentowne i zbędne inwestycje.

Strukturalnie deficytowe związki samorządowe są w zdecydowanej mniejszości. Jednakowoż „samowystarczalność" pozostałych jest wynikiem w przeważającej liczbie wypadków wegetacyjnego poziomu budżetów oraz została okupiona znacznymi ofiarami ze strony Skarbu Państwa jak i samych związków samorządowych.

Olbrzymie, bo ponad miliard złotych obejmujące, zadłużenie samorządu zostało w jednej trzeciej umorzone, przy czym największe straty poniósł Skarb Państwa — 70% sum umorzonych. Pozostałe zadłużenie zostało rozłożone na długie okresy czasu przy jednoczesnym obniżeniu oprocentowania. Obsługa długów z 98 milionów złotych rocznie (faktycznie związki samorządowe płaciły w ostatnich latach przed oddłużeniem połowę należnej sumy) została obniżona do około 33 milionów złotych.

W ramach samych związków samorządowych przeprowadzono redukcję wydatków, które w szeregu wypadków sięgnęły 50% sum wydatkowanych w latach dobrej koniunktury. Były to nie tylko oszczędności natury administracyjnej, na które zwrócono szczególną uwagę. Oszczędności te dotyczyły również innych działów wydatków jak np. oświaty, dróg itd., obejmując często sumy tak małe, że nie wystarczały na konserwację dotychczasowego stanu posiadania, nie mówiąc już o zamierzeniach inwestycyjnych.

Tymczasem inwestycje te — zwłaszcza w miastach — są palącą koniecznością. W roku 1935 prezydent Starzyński stwierdził w jednym z przemówień, że na 489 miast

poniżej 20 tysięcy mieszkańców, 144 nie posiada w ogóle żadnych urządzeń, ani zakładów dobra publicznego, oprócz szkół powszechnych, a takich urządzeń, jak wodociągi i kanalizacja, nie ma u nas nawet 1/4 miast. Sytuacja pod tym względem niewiele poprawiła się od roku 1935, wyjąwszy może opiekę społeczną i zdrowie publiczne, gdzie między innymi w poprawie rolę odegrał czynnik społeczny.

Ewolucja stosunków finansowych samorządu terytorialnego w okresie kryzysu poszła po linii dla samorządu wybitnie niekorzystnej. Samorząd tracił zarówno na rzecz państwa, jak i społeczeństwa. Państwo, pragnąc ulżyć swemu ciężkiemu położeniu finansowemu, zmniejszało udziały samorządu w podatkach państwowych (np. dochodowym), nakładało pewne podatki na zakłady i przedsiębiorstwa samorządowe, jakkolwiek charakter tych ostatnich ze względu na cele użyteczności publicznej temu przeczył, wreszcie obarczało samorządy nowymi zadaniami jak np. wypłatą dodatków mieszkaniowych dla nauczycieli, budową szkół powszechnych itp. Z drugiej strony przeprowadzane z uwagi na trudne położenie ludności zwolnienia podatkowe niejednokrotnie dotyczyły danin komunalnych.

Do pogorszenia sytuacji finansowej gmin przyczyniło się również przejęcie przez władze skarbowe egzekucji administracyjnej w 1932 r. Z zestawienia, zawartego w tegorocznym Nrze 1/2 „Samorządu Miejskiego", wynika, że z wniosków, przesłanych do urzędów skarbowych przez 42 miasta, na ogólną sumę około 33 milionów złotych, o których wyegzekwowanie prosiły miasta, pozytywnie załatwiono 28% wniosków, nie nadano zaś żadnego biegu blisko połowie. Przyczyna takiego stanu leżała w tym, że urzędy skarbowe w pierwszym rzędzie egzekwowały należności Skarbu Państwa, odkładając ściągnięcie zaległości podatkowych władz miejskich na plan dalszy.

Oczywiście to wszystko wiązało się z zupełnie naturalnym spadkiem wpływów podatkowych na skutek działania kryzysu.

Nie można — rzecz zrozumiała — spośród przyczyn obecnego ciężkiego położenia samorządu eliminować tych, które tkwią w niewłaściwej gospodarce samych związków komunalnych. Przede wszystkim należy tu wymienić nieostrożną politykę inwestycyjną, z którą wiąże się bezpośrednio miliardowe zadłużenie samorządu, w pewnej tylko mierze zmniejszone przez akcję oddłużeniową.

Jakie są możliwości poprawy?

Jedną z nich wykluczył w swym grudniowym przemówieniu na temat finansów komunalnych wicepremier Kwiatkowski: możliwość obciążenia ludności jakiemiś nowymi daninami na rzecz związków samorządowych. Pozostają dwie inne: zmniejszenie ciężarów, jakie dzisiaj spoczywają na samorządzie oraz przyznanie samorządowi zwiększonego udziału w podatkach państwowych.

We wspomnianym przemówieniu wicepremiera Kwiatkowskiego jest mowa o zamierzonym wykorzystaniu obu pozostałych możliwości. Ponieważ reforma o charakterze zasadniczym, która by oparła samorząd terytorialny na trwałych i dostatecznych podstawach finansowych, wymaga stosunkowo długiego czasu dla przeprowadzenia odpowiednich badań, z drugiej strony Skarb Państwa nie jest w stanie w ciągu jednego okresu budżetowego uszczuplić swe dochody na korzyść związków samorządowych w odpowiednim stopniu, wicepremier Kwiatkowski zaproponował trzyletni okres przejściowy, po którym ma nastąpić reforma zasadnicza.

W tym trzechletnim okresie Skarb Państwa ma dotować związki samorządowe sumą 10 milionów złotych rocznie, która zostanie rozprowadzona między miasta i gminy wiejskie według określonego rozdzielnika (miasta miałyby otrzymać łącznie 6 milionów złotych, gminy wiejskie — 3 miliony, dwa wojewódzkie związki samorządowe: poznański i pomorski — jeden milion). Niezależnie od tych dotacji ma państwo przystąpić do przejmowania zadań, narzuconych samorządowi w okresie kryzysu. Przede wszystkim chodzi tutaj o przejęcie przez Skarb Państwa wypłaty uciążliwego dla samorządu dodatku mieszkaniowego dla nauczycieli szkół powszechnych. W pierwszym roku budżetowym mają być z tego ciężaru zwolnione gminy wiejskie; w pozostałych dwu — miasta niewydzielone i wydzielone.

Dla samorządu projektowane przez Rząd doraźne środki zaradcze wydają się mocno niewystarczające. W daleko większym stopniu uwzględnia bolączki samorządu projekt posła Suchorzewskiego. Przewiduje on, poza przejęciem przez Skarb Państwa dodatku mieszkaniowego dla nauczycieli w ciągu jednego roku od wszystkich związków samorządowych, zwiększenie udziału samorządu w opłacie monopolowej od spirytusu do jednej czwartej oraz przejęcie przez Skarb Państwa wzgl. związki samorządowe wyższego rzędu znacznej części kosztów związanych z leczeniem ubogich. W sumie samorząd otrzymałby już w pierwszym roku (1938/9) ze Skarbu Państwa przeszło dwa razy więcej niż według projektu rządowego.

Mimo swej niedostateczności stanowi jednakże projekt rządowy zasadniczy zwrot w dotychczasowym ustosunkowaniu się Rządu do samorządu. Zerwano nareszcie z pojmowaniem tych dwóch czynników jako konkurujących między sobą o kieszeń podatnika. Uznano samorząd za czynnik spełniający ważne zadania państwowe, który w konsekwencji powinien uzyskać należne mu uprawnienia finansowe.

Niestety, tegoroczna sesja zwyczajna Sejmu i Senatu już się skończyła, a dopiero jedna część projektu rządowego, dotycząca dodatków mieszkaniowych dla nauczycieli, przyoblekła się w szaty ustawy; uchwalenie przez Sejm i Senat drugiej części, mówiącej o dotacjach, zależy od zwołania sesji nadzwyczajnej. Ewentualne niezałatwienie tej sprawy miałoby szereg związków samorządowych, idąc po myśli okólnika ministra spraw wewnętrznych (Dz. U. M. S. Wewn. Nr 1 poz. 3), zapreliminował w budżetach na rok 1938-9 odpowiednie udziały w zapowiedzianych dotacjach.

Po upływie trzech lat Rząd ma przystąpić do generalnej reformy finansów komunalnych. Nie od rzeczy będzie zapoznać się z jej wytycznymi. Z grudniowego przemówienia wicepremiera Kwiatkowskiego dowiadujemy się, że „byłoby w zasadzie pożądane, by wielkie, ogólnopaństwowe źródła dochodowe możliwie w formie najpełniejszej zachować dla spełnienia zadań ogólnopaństwowych. Natomiast odwrotnie, wydawałoby się, że opłaty czy podatki od gazu, czy elektryczności, od żarówek, od konsumcji w zakładach gastronomicznych, od widowisk i totalizatora, może od uboju itp., mogłyby słusznie, z mniejszym kosztem ich poboru, służyć celom samorządowym".

Takie zapatrywanie nie znajduje potwierdzenia wśród sfer samorządowych, które powołując się na przykłady za granicą, jak i na niedomagania wewnętrzne, występują przeciwko wyraźnemu rozgraniczeniu źródeł dochodowych państwa i samorządu. Dla uzasadnienia wystarczy krótka reasumcja skreślonych wyżej uwag.

Państwo musi dbać z jednej strony o równomierne zaspokojenie potrzeb wszystkich swych obywateli, z drugiej — o realizację szczególnych zamierzeń, ważnych tak z punktu widzenia obronności, jak gospodarczego czy społecznego. Do tych ostatnich należeć będzie: rozbudowa Gdyni, C. O. P., rozwiązywanie kwestii mieszkaniowych w wielkich ośrodkach robotniczo-przemysłowych itp. Planowe podejście do tych zagadnień wymaga planowego zorganizowania środków finansowych.

Część planu musi wykonać samorząd. Z uwagi bądź na strukturalną deficytowość budżetów, bądź też na niemożność podciągnięcia się pewnych związków samorządowych do rozmiarów pracy, jaka musi być dokonana w niektórych ośrodkach ze względu na realizowanie specjalnie ważnych zadań państwowych — państwo musi śpieszyć danym związkom samorządowym ze specjalną pomocą.

Połączenie systemu podatkowego państwa i samorządu w planową całość nie wyklucza istnienia danin komunalnych, pozostających poza obrębem akcji subwencyjnej państwa. Wiąże się to z potrzebą pewnej elastyczności gospodarki samorządowej, w związku z wahaniami koniunktury.

Min. Jaroszyński w powołanym na wstępie artykule w „Samorządzie Terytorialnym" dochodzi do następującej konkluzji:

„Trzonem systemu muszą nadal pozostać daniny komunalne — nie wchodzę w tej chwili w doniosłą skądinąd kwestię, jak one mają być skonstruowane, czy jako daniny samoistne, czy dodatki, czy wreszcie udziały w daninach państwowych. Wymaga tego nieodzownie sama natura samorządu i główna zaleta tej instytucji, polegająca właściwie na znacznej swobodzie decyzji i dyspozycji...

Natomiast wielki nacisk kładę na to... aby całego systemu finansów komunalnych nie budowano wyłącznie na daninach. System danin powinien być uzupełniony i skorygowany przez szeroko zastosowany system dotacji. I o to mi właśnie chodzi, żeby dotacje stanowiły konsekwentny system".

Oczywiście — planowość systemu finansowania poczynań państwa jak i samorządu zależy w dużej mierze od struktury podatkowej. Stąd reforma finansów komunalnych wiąże się z uporządkowaniem i uproszczeniem naszego systemu podatkowego.

Adres Redakcji i Administracji Warszawa, Żórawia 7 m. 30, t. 809.20.

Z DZIEJÓW POLSKIEJ KULTURY MUZYCZNEJ

Władysław Fabry

Opera za Moniuszki

Trzy dziesiątki lat sprężystych rządów **Karola Kurpińskiego** — to znakomity okres opery warszawskiej. Wysoka dyscyplina artystyczna zespołu operowego i takiż poziom repertuaru sprawiały, że do roku 1840-go, w którym Kurpiński usunął się ze sceny, zaliczano operę warszawską do lepszych w świecie. Kurpiński — tak jak przed nim Elsner — zasilali scenę warszawską obficie własną twórczością, a sam Kurpiński napisał dwadzieścia kilka oper, okraszając każdą z nich tańcami i melodiami polskimi. Jako przykłady starczyłoby wymienić „Jadwigę" — libretto Niemcewicza — „Nowe krakowiaki" i „Zamek na Czorsztynie". Jednak uważam, że nie należy pomijać tej sposobności, ażeby przypomnieć czytelnikom możliwie najwięcej dat i faktów z życia i działalności chyba największego spośród wszystkich dyrektorów opery warszawskiej. A więc, czerpiąc daty ze spisu, dołączonego do historii opery polskiej Karasowskiego, sporządzonego po dzień 20 kwietnia 1820 r. przez Dmuszewskiego — a uzupełnionego po dzień 20 kwietnia 1859 r. przez samego Karasowskiego, znajdujemy w tym spisie następujące opery (i utwory pokrewne) Kurpińskiego (poczynając od roku 1810): „Dwie chatki", „Pałac Lucypera" (autor libretta Żółkowski), „Oblężenie Gdańska" (melodrama), „Ruiny Babilonu" (melodrama), „Marcinowa w Seraju" (melodrama komiczna), „Szarlatan" — autor libretta Żółkowski (do roku 1859 wykonano ten utwór 23 razy); „Łaska imperatora", „Agar na puszczy" (melodrama), „Jadwiga" (do roku 1859 wykonana 34 razy), „Aleksander i Apelles", „Nagroda", „Mała szkoła ojców", „Nowe krakowiaki", (do roku 1858 wykonane 25 razy), autor libretta Jan N. Kamiński (od roku 1826 łączono niekiedy w ciągu jednego wieczoru stare „Krakowiaki" Stefaniego z Nowymi „Kurpińskiego); „Dziadek", „Hero i Leander" (melodrama), „Jan Kochanowski" (autor libretta Niemcewicz). „Bateria o jednym żołnierzu" (melodrama) i „Czaromysł" (tłumacz obu tekstów Żółkowski), „Zbigniew", tragedia liryczna (autor libretta Niemcewicz), „Kalmora" (autor libretta Brodziński), „Cień ks. Józefa Poniatowskiego czyli wprowadzenie jego na pola Elizejskie" (obraz historyczny), „Leśniczy w puszczy Kozienickiej" (autor libretta Krasiński Józef, ten sam, który napisał „Zamek na Czorsztynie"), „Cecylia Piaszczyńska" (autor libretta Dmuszewski).

Bez względu na wartość tych wszystkich utworów, imponujących chociażby cyfrowo, już na podstawie ich wyliczenia możemy zdać sobie sprawę z sumy pracy i dobrej woli w tę pracę włożonej. Współpraca literatów tej miary, jak Niemcewicz i Brodziński stawiała Kurpińskiego pod tym względem w położeniu znacznie korzystniejszym od jego wielkiego następcy — **Stanisława Moniuszki.**

Jednak Kurpiński nie nadużywał swej przewagi dyrektorskiej dla forytowania twórczości własnej, którą uważał tylko za swój obowiązek narodowy, lecz wzbogacił repertuar opery warszawskiej szeregiem dzieł i arcydzieł światowej literatury muzycznej, Mozarta, Spontiniego, Rossiniego, Boieldieu'go, Aubera, Belliniego i Webera. Starczy wymienić tytuły takich oper, jak „Don Juan", „Westalka", „Cyrulik Sewilski" (premiera w roku 1825), „Wolny strzelec" (premiera w r. 1826)), „Niema z Portici" (premiera w roku 1831), „Napój miłosny" (premiera w r. 1839), „Lunatyczka" (premiera w r. 1840).

Ten krótki wstęp był konieczny, ażeby zdać sobie sprawę z tego, w jakim stanie zastał operę warszawską, obejmując jej dyrekcję — Stanisław Moniuszko. Bo wprawdzie od czasu ustąpienia z dyrekcji Kurpińskiego (1840) do czasu objęcia ją przez Moniuszkę (październik 1858) upłynęło jeszcze lat kilkanaście, jednak w tym okresie, prawie martwym, nic ważniejszego już nie zaszło. Następca Kurpińskiego — **Tomasz Nidecki**, kolega Chopina, napisał szereg operetek, które nie utrzymały się jednak w repertuarze.

Punktem zwrotnym dla historii opery warszawskiej staje się mianowanie jej dyrektorem Stanisława Moniuszki — **w październiku 1858 roku.** Przed tym musimy się jednak jeszcze cofnąć do ostatnich miesięcy roku poprzedniego, kiedy to Moniuszko zjechał do Warszawy celem pokierowania ostatnimi próbami swej „Halki", której premiera (warszawska) odbyła się dnia **1 stycznia 1858 r.** Na jaką atmosferę trafił sam skromny i potulny — lecz stanowczy w sprawach natury artystycznej — Moniuszko? „Spazmy Rivoli i kaprysy Dobrskiego wiążą działania opery" — pisał do Ilcewicza i w tych kilku słowach znajdujemy, zdaje się, najistotniejszą syntezę ówczesnej atmosfery operowej w Warszawie. Taki przybysz z Monsalwatu, artysta o duszy kryształowej, jakim był Moniuszko, dał sobie wkrótce radę z wszystkimi, pokonał ich i obłaskawił swoją rozbrajającą dobrocią i czystością swych intencyj artystycznych, ustały spazmy, Rivoli „dała się namówić do śpiewania Halki, przestał bruździć niechętny Quattrini („proszę więc wstrzymać naukę mojej opery i nie podejmować dyrygowania bez warunku, że ma być wykonana tak jak ją posyłam w wyciągu fortepianowym" — „mam też nadzieję, że dyrekcja, choćby ze względu na dziesięć lat, które czekam, nie sprzeciwi się moim życzeniom" — pisał do niego Moniuszko po włosku w czerwcu 1857 r. (zjechawszy następnie do Warszawy dnia 14 lipca t. r.), a nawet oporny Dobrski „sławny jak bęben za górami", zostaje pozyskany w ten sposób, że jego propozycja zmiany pierwotnego tempa przy „Szumią jodły" z mazurka na dumkę, została przyjęta. Wprawdzie na pierwszej fortepianowej próbie „pokazało się, że nikt nic nie umie. Prawda, że dopiero trzy dni jak role rozdane i **naród nie muzykalny, nót czytać nie umie..."** (pod tym względem nie wiele się zmieniło po dziś dzień — można by uzupełnić tę korespondencję Moniuszki z żoną) — „ale Bogu dzięki, wszyscy bardzo życzliwi. Matuszyński, zastępujący Dobrskiego, dobywa głosu co sił i zdaje się, że zostanie przy roli Jontka itd. Rivoli, jako primadonna domaga się odmian rozmaitych, na które ja się zgodzić nie mogę. Mam na rolę Halki w zapasie coś świeższego, uczennica Matuszyńskiego, pali się także do roli Halki". „Z rana konferencja z Turczynowiczem, dyrektorem baletu o tańce w Halce" itd.

Oto w grubszych zarysach atmosfera i stosunki, na jakie natrafił Moniuszko w operze, której rządy miał objąć już po upływie kilkunastu miesięcy — i sprawować je potem aż do swego zgonu, przez okres lat 14.

A jednak, mimo wszystkich piętrzących się przed młodym i nikomu nie znanym kompozytorem trudności „Halka" zwyciężyła, odnosząc sukces nie notowany poprzednio w kronikach opery warszawskiej. „Drugie przedstawienie Halki — relacjonował Moniuszko swej żonie w dniu 5 stycznia 1858 r. — było bardzo świetne i lepiej poszło od pierwszego — nie można, nie widząc, mieć pojęcia, jaki efekt robi ta opera. Dobrski przeszedł w roli Jontka wszystkie swoje dawne powodzenia. Rivoli do łez porusza. Balet cudowny. Dziś dają trzeci raz i natłok w kasie tak ogromny, jak nie był ani na pierwszem, ani na drugim przedstawieniu".

Resztę ról wykonali: Troschel (wspaniały karmazyn, nieporównany przedstawiciel ról kontuszowych), Ziółkowski (Janusz), pani Quattrini (Zofia) i Stysiński (Dziemba). Na czwartym przedstawieniu niektóre partie zostały zdublowane i partię Janusza objął Koehler (późniejsza sława opery warszawskiej), Zofii — Chodowiecka.

W ten sposób poznaliśmy z okazji premiery „Halki" cały zespół operowy i wszystkie jego filary, na których przez długie lata opierać będzie Moniuszko swe przyszłe rządy. Prawie z tymi samymi nazwiskami spotykamy się przy następnej jego premierze — „Flisa" (24 września 1858 r., w miesiąc po powrocie Moniuszki z pierwszej podróży do Paryża). A więc: Stysiński (Antoni), Troschel (Szóstak), Koehler (Feliks), Dobrski (Franek), Rivoli (Zosia) i Żółkowski (Jakób), którego nawet śpiewu „słuchać warto, choć mu głos nie dopisuje" — stwierdzał Sikorski w „Ruchu Muzycznym" (wiadomo, że Żółkowski był znakomitym aktorem komediowym). „Sam kompozytor dyrygował i wykonanie nic na tym nie straciło" — to strzał pod adresem Quattriniego, jeżeli się uwzględni poprzednie wypady tego krytyka w czasie nieobecności Moniuszki, na przykład pod datą 2 czerwca: „orkiestra (na „Halce") robiła co mogła, aby zepsuć co się da", „fałsze bez liku" a w końcu apel do dyrektora w imieniu słuchaczy, poparty nawet groźbą „aby zwrócił uwagę na to co się w orkiestrze dzieje (a dzieje się źle oddawna i coraz gorzej prawie), inaczej uważać będziemy p. Quattriniego za nieprzyjaciela opery polskiej". To już atak frontowy, na który kapelmistrz włoski odpowiedział w ten sposób, że „boczył się podczas Flisa, groził odejściem, nie był na próbach ni na przedstawieniu" (z listu Moniuszki do żony), co było niewątpliwie i odpowiedzią na zamianowanie Moniuszki drugim kapelmistrzem (a niebawem i dyrektorem). Kto wie jednak, czy nie był to rezultat zakulisowej akcji Quattriniego, że pomimo namalowanych już drugich dekoracyj do „Flisa" (dla teatru w Pomarańczarni), z okazji pobytu w Warszawie cara Aleksandra, car nie był ani na „Flisie" ani na „Halce". „Pobyt cesarza — pisał Moniuszko do żony — żadnej mi nie zrobił pomocy, bo czy to intrygi czy co innego, dość, że Flisa ani Halki nie widział".

W październiku (1858) przenosi się Moniuszko już jako dyrektor opery z całą rodziną do Warszawy — i zamieszkuje na Krakowskim Przedmieściu pod nr. 79. Repertuar opery warszawskiej nie uległ od czasu Kurpińskiego żadnej znaczniejszej zmianie. Przybyły w żelaznym repertuarze: „Norma" Belliniego i „Lucja z Lammermooru" Donizettiego (obie premiery odbyły się w r. 1845), „Lucrezia Borgia" i „Córka pułku" Donizettiego (obie premiery odbyły się w r. 1846), „Don Pasquale" Donizettiego (1846), „Linda" Donizettiego (1847), „Lombardi" Verdiego (1848), „Macbet" Verdiego (1849), „Marta" Flotowa (1850), „Ernani" Verdiego (1851), „Żydówka" Halevy'ego (1857) i „Hugonoci" Meyerbeera (1858).

W dwa lata po premierze „Halki", dnia 7 lutego

1860 r. odbyła się premiera nowego dzieła Moniuszki, przyjętego „z zapałem prawie większym jak Halka przy pierwszym jej na świat warszawski wystąpieniu" — „Moniuszko na wejściu ledwo się pokazał w ciemnych wejściach orkiestrowych, powitany salwą oklasków i odprowadzony przez nie całą drogę do dyrektorskiej estrady, pięć minut jeszcze musiał się kłaniać przy pulpicie". Tak przyjęto „Hrabinę", w której główne role wykonali: Rivoli, Żółkowski i **Kamiński** (Kazimierz), nowy tenor w poprzednim zespole, dla którego specjalnie przeznaczył kompozytor tę rolę w Hrabinie. Resztę ról wykonali: Chodowiecka (Bronia), Matuszyński (Dzidzi), Troschel (nieporównany Chorąży), arię włoską z II aktu śpiewała Dowiakowska, późniejsza żelazna Halka, która do roku 1885 (28 czerwca), w którym to dniu odbyło się w operze warszawskiej **trzechsetne** przedstawienie „Halki", z Myszugą jako Jontkiem, śpiewała Halkę więcej niż 150 razy. (Wogóle śpiewała ją przeszło dwieście razy). Dla porównania przytoczę, że słynny Caruso ze wszystkich wykonywanych przez siebie oper najwięcej razy (162) śpiewał Cania w „Pajacach" i 134 razy Radamesa w „Aidzie".

Zanim pójdziemy do następnych oper Moniuszki— musimy zająć się nieco obszerniej filarami wokalnymi ówczesnej opery warszawskiej, a więc przede wszystkim — Julianem Dobrskim i Pauliną Rivoli — oraz innymi.

Otóż Dobrski urodził się w Warszawie w roku 1811 — a w roku warszawskiej premiery „Halki" obchodził 25-lecie swej pracy scenicznej, mając lat 47. Jest to najlepszy dowód, jak znakomicie władał i jak musiał mieć zakonserwowany głos, skoro zdołał tak zachwycić Moniuszkę kreacją Jontka, kto wie, czy nie niedościgłą po dzień dzisiejszy. W czasie przedstawienia jubileuszowego („Ernani") wręczono mu szczerozłoty wieniec, na którego liściach wysadzanych drogimi kamieniami były wyryte tytuły wszystkich oper, w których ukochany „pan Julia" występował. Dobrski uczył się śpiewu najpierw u Solivy w konserwatorium warszawskim, później we Włoszech. Debiutował jako Almaviva w „Cyruliku Sewilskim" w r. 1832 na otwarciu Teatru Wielkiego w Warszawie, będąc potem przez lat 34 (do roku 1866) ulubieńcem publiczności w takich operach, jak „Łucja", „Żydówka", „Norma", „Ernani", „Robert djabeł" i inne. Słynne partie Jontka, Stefana i Franka przypadają już na schyłek jego kariery operowej. W roku 1866 usunął się w pełni sił wokalnych ze sceny, rozgoryczony na panujące wówczas stosunki zakulisowe — i przysiągł sobie, że jego noga nie przekroczy nigdy nawet progu tej instytucji. Przysięgi tej dotrzymał. Po przejściu na emeryturę był przez lat kilka profesorem konserwatorium. Jego uczennicą była znakomita primadonna Jakowicka. Głos Dobrskiego, typowo dramatyczny, nie sięgał nigdy do jakichś bajecznych wyżyn (jak np. u późniejszego Mierzwińskiego), jednak jego górne **gis**, a i czasem **b** były nutami niezwykłej piękności. Zdaniem Kleczyńskiego, głos ten nie posiadał koloratury (!) „ale jego „koloraturą" był wyraz, który przejawiał się u niego w tysiącznych odcieniach. Dykcja jego przy tym była wzorowa; zwracał szczególną uwagę na łagodzenie zbyt twardych w języku polskim spółgłosek; szczególniej przy zbiegu kilku takich liter (jak np. „obowiązek święty") umiał pogodzić jasność wymowy z estetyką — w wyżej przytoczonym frazesie z „Żydówki" litera **k** prawie niknęła w wymawianiu itd. Łucję **całą** już rzadko śpiewał (Kleczyński przyjechał do Warszawy w latach piędziesiątych) — scenę grobową wykonywał tylko, gdy się czuł bardzo przy głosie. „Arią „Niechaj niebo mi przebaczy" z Marty pamiętam, jak się kiedyś zachwycała — pisze Kleczyński — pani Viardot-Garcia, która przybyła do Warszawy na gościnne występy, zdaje mi się, w r. 1857 itd. W akcie II Żydówki był idealny, w scenie przekleństwa z tejże opery przerażał prawdziwie; jego wykrzyknik: „Chrześcijanin!", towarzysząca mu gra niema i wypuszczenie z ręki sztyletu, były cudowne, to samo da się powiedzieć o recytatiwie i arii „Rachelo, kiedy Pan". Recitativo było wogóle jednym z tryumfów Dobrskiego. Powiedzieć umiał wszystko doskonale itd." Tyle Kleczyński we wspomnieniu pośmiertnym (Dobrski umarł dnia 2 maja 1886 r., przeżywszy lat 75).

(D. n.).

ŻYCIE PROWINCJI

Mgr Józef Bieniasz

Zagadnienia społeczne i kulturalne Pomorza

Jakkolwiek w powojennej literaturze naukowej i publicystycznej pisze się bardzo wiele o Pomorzu, o jego strukturze demograficznej, gospodarczej i kulturalnej, to jednak zanadto ocenia się te sprawy pod kątem widzenia współczesności, za mało zwraca się uwagi na przeszłość tej ziemi, mogącą wytłumaczyć niejeden proces, rozgrywający się na naszych oczach i pozornie dla nas niezrozumiały. Ten sposób oceny spraw pomorskich trafia się szczególnie często u ludzi przybywających na Pomorze z innych dzielnic i zakątków Rzeczypospolitej i nie umiejących inaczej patrzeć na jakiekolwiek procesy i zjawiska, jak tylko według kryteriów, które przyjęli za podstawę (może były one nawet słuszne) w odniesieniu do swojej rodzinnej ziemi, dzielnicy czy regionu. Stąd brak bardzo często wspólnej platformy wzajemnego zrozumienia się między tzw. przybyszami a rdzenną ludnością pomorską, co z kolei powoduje pewne rozdźwięki i animozje w całokształcie życia społecznego, przeszkadzając wytworzeniu się zgodnej koordynacji wysiłków dla osiągnięcia tych czy innych doniosłych celów, ważnych z punktu widzenia dobra publicznego.

To też każdy człowiek, chcący zabierać głos w sprawach pomorskich, musi sobie gruntownie uświadomić i przyswoić kilka zasadniczych prawd:

1. Pomorze, jak żadna inna z ziem polskich, była terenem walk sąsiednich potęg i musiało stosunkowo często w ciągu swych dziejów zmieniać zwierzchność państwową. Wszedłszy właściwie najpóźniej ze wszystkich ziem polskich w obręb państwa piastowskiego, zatraciło z nim z czasem bardzo ścisły związek, zwłaszcza w epoce dzielnicowej pod rodzimą dynastią i wobec niebezpieczeństwa krzyżackiego, zagrażającego mu utratą niepodległego bytu, by od r. 1308 podzielić los sąsiadów z prawej strony Wisły i przejść drogą zdrady pod panowanie Zakonu Krzyżackiego. Dopiero po zwycięskiej wojnie trzynastoletniej, na podstawie pokoju toruńskiego w r. 1446, wraca Pomorze pod berło Rzeczypospolitej, by dzielić z nią dole i niedole aż do rozbiorów, kiedy przechodzi znowu pod panowanie pruskie. Jest więc jasną rzeczą, że ten trzechsetletni w sumie okres — trzeba przyznać ciężkiej niewoli — musiał pozostawić pewien szkodliwy nalot wrogiej kultury w psychice i obrazie duchowym mieszkańca tej ziemi, musiał spowodować znaczne szczerby w narodowym stanie posiadania.

2. Przeciętny mieszkaniec Polski z głębi kraju pod nazwą „Pomorze" rozumie obszar zamknięty dzisiejszymi granicami politycznymi, a przyznany Polsce w Traktacie Wersalskim. W najlepszym wypadku ma świadomość, że do obszaru tego należał ongiś jeszcze Gdańsk. Inaczej myśli rdzenny Pomorzanin. Dla niego Pomorze — to obszar od dolnej Odry do dolnej Wisły z dwoma stolicami u ujścia tych rzek — Szczecinem i Gdańskiem— jakby dwiema siostrzycami tej samej matki. Prawie równie bliskim jest mu Świętopełk i Warcisław, przedstawiciele dynastii wschodnio- i zachodniopruskiej. Tragizm dzisiejszej politycznej granicy Pomorza odczuwa nie tylko dlatego, że poza nią pozostał Gdańsk, ale również ze względu na swoich braci Kaszubów, żyjących za zachodnią granicą, gdzie przetrwały jeszcze do dnia dzisiejszego tak liczne ślady kultury słowiańskiej.

„Istnieje bowiem głęboko w naszej psychice zbiorowej zapadłe, na codzień nawet dla wielu spośród nas ledwie wyczuwalne, poczucie kadłubowości naszej ziemi. To poczucie ściśnienia naszych rubieży kordonami granic politycznych, zwłaszcza od wschodu i zachodu, daje psychice naszej zaporę cierpiącej goryczy, wytwarza świadomość okaleczenia. To właśnie jedna z przyczyn, bynajmniej zresztą nie wyłączna, głębokiego niezadowolenia wewnętrznego z obecnego stanu rzeczy, rysu, rzucającego się tak często w oczy nie-Pomorzan" — tak trafnie określa bolesny dla Pomorzan stan obecnych granic politycznych przedstawiciel młodej generacji pomorskiej na łamachh „Teki Pomorskiej" (nr 3—4, str. 6—7). To też mimo granic politycznych, mimo obcego i wrogiego elementu niemieckiego, który rozsadził pierwotną spoistość plemion pomorskich, Pomorzanie, a zwłaszcza główny ich trzon — Kaszubi — tworzą w ich własnym poczuciu silnie zespoloną jedność bez względu na to, gdzie mieszkają.

3. Burzliwa przeszłość Pomorza, częste zmiany polityczne, jakie miały miejsce na tej ziemi, wędrówki ludów, szlaki osadnicze, które ją poprzecinały w różnych kierunkach, wreszcie ustawiczna walka z przeciwnikiem, dążącym do usunięcia, względnie wynarodowienia rodzimego elementu, wytworzyły wprawdzie pewną mozajkę mniej lub więcej wyodrębnionych grup socjologiczno-etnograficznych, względnie drobniejszych regionów, jak ziemia Chełmińska, Kosznajderia, Krajna, Kociewie, Zabory oraz największy i najbardziej się wyodrębniający teren Kaszub, co jednak nie powoduje wcale osłabienia poczucia narodowego polskiego u Pomorzan jako całości. Fakty pewnej odrębności, jakie występują, zwłaszcza u ludności kaszubskiej, nie wykraczają poza ramy swoistej kultury ludowej, duchowej i materialnej, jak: język, zwyczaje, stroje, literatura, wierzenia itd. Pojęcie właściwego separatyzmu politycznego, wysuwane przez niektórych publicystów czy działaczy społecznych, nieobznajmionych bliżej z istotnym stanem rzeczy, nie istnieje u żadnej z grup ludności pomorskiej. Nie można bowiem uważać za taki pewnych objawów nieporozumień czy niezadowolenia z obecnego układu stosunków w tej czy in-

nej dziedzinie życia, przejawiających się od czasu do czasu, np. u ludności kaszubskiej.

4. Wreszcie trzeba sobie zdać sprawę z obecnego, nad wyraz niebezpiecznego położenia geopolitycznego polskiego Pomorza. Wciśnięte wąskim pasem między obszary niemieckie jest nie tylko narażone na ewentualny atak niemiecki, ale znajduje się ustawicznie pod wpływem silnych niemieckich ośrodków polityczno-kulturalnych, znajdujących się po wschodniej i zachodniej stronie granicy. Czy możemy bowiem porównać największe ośrodki miejskie na Pomorzu, jak Bydgoszcz, Toruń, Gdynia i Grudziądz, z tak dawnymi i rozporządzającymi tak wielkimi środkami materialnymi, centrami niemieckimi, jak Szczecin, Berlin, Gdańsk, Królewiec, a nawet mniejszymi, jak Elbląg? Podobna dysproporcja rzuci się nam w oczy na polu stosunków kulturalnych. Z jednej strony kilka doskonale uposażonych uniwersytetów i Wyższych Szkół Technicznych, będących pod czułą opieką oficjalnych czynników niemieckich, cały szereg rozbudowanych i dobrze postawionych pod względem naukowym instytutów badawczych, liczne zastępy pracowników naukowych, kilkanaście czasopism naukowych — z drugiej — dwa Towarzystwa Naukowe — Instytut Bałtycki i kilka słabo prosperujących czasopism naukowych. Czy w takich warunkach może być mowa o skutecznej obronie duszy mieszkańca Pomorza przed niepożądanymi wpływami kultury niemieckiej, a co za tym idzie, przed zgubnym posiewem politycznym?

Nie trzeba wreszcie zapominać, że jakkolwiek Pomorze należy obecnie do najbardziej rdzennych ziem polskich, to jednak w jego granicach żyje nieliczna procentowo (niecałe 10%), ale doskonale zorganizowana pod względem politycznym i gospodarczym mniejszość niemiecka, odgrywająca niewspółmierną, w stosunku do swojej liczebności, rolę w całokształcie życia gospodarczego tej dzielnicy. Że i z tej strony idą różne poczynania, podważające jedność Pomorza, nie ulega żadnej wątpliwości.

Wymienione w powyższych kilku punktach spostrzeżenia łatwo rzucą się w oczy każdemu, kto zechce zająć się zagadnieniami pomorskimi szczerze — „sine ira et studio" — ale wymagają też wyciągnięcia z nich konsekwencji przy formułowaniu takich czy innych sądów. Jakież to są te konsekwencje?

Nie trzeba być filozofem, czy socjologiem, by stwierdzić, że czasy nam współczesne są niezwykle ciekawym okresem walki różnych prądów ideowych i społecznych. W walce tej znikają jedne systemy ideowo-polityczne, by zrodzić nowe, pretendujące do miana jedynych, które potrafią skupić rozdarte waśniami społeczeństwo i wskazać mu jedną, właściwą drogę działania.

Ten głód idei daje się może w większej mierze odczuć na Pomorzu, niż w reszcie Polski. Dzieje się to zapewne dlatego, że nigdzie tak, jak na Pomorzu nie odczuwa się naporu obcej ideologii, którą reprezentuje narodowy socjalizm, i potrzeby przeciwstawienia się mu. Młodzież polska, rozrzucona w różnych, nieraz bardzo anemicznych i mało ruchliwych organizacjach, nie wykazuje tej dynamiki narodowej i nie wyzwala z siebie tych wartości, których społeczeństwo od niej oczekuje. Tymczasem młodzież niemiecka — mam tu na myśli młodzież zamieszkałą na obszarze polskiego Pomorza — skupiona przeważnie w ramach jednej partii, wykazuje dużą ekspansywność, której ze strony polskiej nie przeciwstawia się nic równoważnego. Grozi to smutnymi konsekwencjami na przyszłość.

Trzeba stwierdzić, że długa niewola wyrobiła w nas instynkt obrony, skłonność do zamykania się wyłącznie na własnym podwórku, a stępiła zdolność do ofensywy i jakkolwiek już prawie 20 lat upłynęło od odzyskania niepodległości, w dalszym ciągu bardzo niechętnie wychylamy się poza własny zakreślony granicami politycznymi obszar. Zapominamy jednak, że jest nie tylko naszym prawem, ale obowiązkiem interesowanie się wszelkimi przejawami życia ludności kaszubskiej czy mazurskiej, żyjącej za wschodnią czy zachodnią granicą Pomorza polskiego, i użyczanie jej w miarę możności jak najdalej idącej opieki duchowej i materialnej.

Wspominałem już wyżej, że Pomorze polskie, żyjące w szczególnie trudnych warunkach ze względu na swoje położenie geopolityczne i znaczny wpływ niemieckich centrów kulturalnych, wymaga szczególnie czułej opieki ze strony państwa i społeczeństwa polskiego. Brak jednolitego, obejmującego całe terytorium Pomorza, ośrodka kulturalno-duchowego utrudnia zorganizowanie życia kulturalnego na tym obszarze zgodnie z jego istotnymi potrzebami. Za czasów Niepodległej Rzeczypospolitej Pomorze taki ośrodek twórczej myśli politycznej i kulturalnej widziało w Gdańsku; w gdańskiej architekturze, sztuce i literaturze ucieleśniało się najlepiej życie duchowe kraju. Po rozbiorach jednak cały wysiłek pruskiej polityki germanizacyjnej wysilił się w tym kierunku, by z Gdańska uczynić bastion wojującej niemczyzny u ujścia Wisły i bramę wypadową dla niemieckiej ekspansji na wschód, co się w gruncie rzeczy Niemcom powiodło przez nieprzebierającą w środkach politykę eksterminacyjną.

W Polsce Odrodzonej dawną rolę Gdańska w stosunku do Pomorza stara się przejąć Toruń, stolica województwa, skupiając przy Towarzystwie Naukowym, w oparciu o bogatą Książnicę Miejską im. Kopernika i niezwykle cenne Archiwum Miejskie — znaczną część pracy naukowo-kulturalnej, dokonywanej obecnie na Pomorzu. Mimo wszystko jednak wpływ Torunia, nie tyle w zakresie badań naukowych, ile jeśli chodzi o ogólny zasięg kulturalny, nie wykracza poza południową część Pomorza. Tak jak dawniej, północne Pomorze, wraz z Wybrzeżem i Gdynią, tworzy odrębny region kulturalny, który stanowi głównie teren Kaszub. Otóż, obserwując dzisiejszy ruch kulturalny na Kaszubach, spostrzega się nie tylko dużą różnorodność w jego przejawach, ale także do pewnego stopnia rozbicie. To też już swego czasu podkreślałem, że jest to najbardziej zagrożony odcinek Pomorza, nad którym należało by w jak najkrótszym czasie roztoczyć opiekę.

Roli tej musi się podjąć Gdynia, która w ostatnich czasach staje się coraz poważniejszym ośrodkiem kulturalnym i naukowym. Działalność jej powinna iść w trzech kierunkach: 1) bałtycko-morskim, 2) kaszubskim i 3) gdańskim. Pierwszy dział skupia w sobie, działający od 1 stycznia 1937 r. na terenie Gdyni — Instytut Bałtycki, z istniejącym przy nim Gospodarczym Archiwum Morskim oraz Morskim Kolegium Ekonomicznym; pracę w drugim kierunku przejęło na siebie Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Gdyni, które nawiąże kontakt z towarzystwami i instytucjami o charakterze kulturalnym w drobniejszych ośrodkach północnego Pomorza, jak: w Wejherowie, Kościerzynie, Kartuzach i Tczewie. Ważnym zadaniem nowopowstałego Towarzystwa Przyjaciół Nauk będzie naukowe badanie zagadnień południowego wybrzeża Bałtyku, ze szczególnym uwzględnieniem historycznego obszaru Pomorza między Odrą i Wisłą, oraz dziejów ludności kaszubskiej. Wreszcie Gdynia musi stać się ośrodkiem studiów nad zagadnieniem gdańskim w dobie obecnej i pod kątem widzenia dokonywujących się na terenie W. Miasta przemian politycznych, gospodarczych i społeczno-prawnych. Być może, iż i ta dziedzina badań zostanie skupiona przy Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Będzie to zależało od rozwoju tej instytucji i skupienia pod swoim sztandarem dostatecznej ilości pracowników naukowych, jak również od środków materialnych, jakie będzie miała do dyspozycji.

Wyobrażam więc sobie, że do czasu powstania na Pomorzu Wyższego Zakładu Naukowego, który by scentralizował rozproszkowaną dotąd w pewnej mierze pracę naukowo-badawczą i kulturalną — należało by również pod względem kulturalnym tak, jak to już jest w zakresie gospodarczym, podzielić Pomorze na trzy niejako regiony: 1) Kaszuby wraz z Wybrzeżem i ewentualnie Kociewiem, z ośrodkiem w Gdyni, 2) południowe Pomorze wraz z ziemią Chełmińską, z ośrodkiem w Toruniu, wreszcie 3) okręg nadnotecki, Bory Tucholskie i Kosznajderię, z ośrodkiem w Bydgoszczy. Oczywiście, ośrodki te powinny przejąć również opiekę nad najbliższymi sobie terytorialnie pogranicznymi terenami, w których znajdują się mniejsze lub większe skupienia ludności polskiej, a więc: Toruń nad Warmią i Mazurami, Bydgoszcz nad pogranicznymi powiatami na zachodniej granicy, wreszcie Gdynia nad obszarem Pomorza zachodniego i Gdańskiem (oczywiście, wobec istniejącego na terenie Gdańska Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Sztuki działalność ze strony Gdyni ograniczyłaby się do pewnej pomocy moralnej i materialnej oraz spełnienia tych zadań, których istniejące na terenie Gdańska polskie organizacje, ze względów statutowych, wykonać nie mogą). W ten też sposób można by podzielić pod względem terytorialnym zasięg trzech działających na Pomorzu towarzystw naukowych, a więc: Towarzystwa Naukowego w Toruniu, Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku oraz Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Gdyni, nie krępując oczywiście w żadnej mierze tak owocnej naukowo-wydawniczej działalności dwóch pierwszych towarzystw.

Kilka słów jeszcze o zbiorach naukowych na Pomorzu. Lwia ich część zgromadziła się w dwóch wielkich bibliotekach miejskich w Toruniu i Bydgoszczy, oraz w dwóch dużych archiwach w tychże miastach, jeśli chodzi o zbiory biblioteczne i archiwalne. Cenne zbiory archiwalne i biblioteczne posiada również Pelplin, stolica biskupstwa chełmińskiego. Budowane obecnie monumentalne Muzeum Ziemi Pomorskiej w Toruniu ma objąć większość cennych zabytków z terenu całego Pomorza, zgromadzonych już w obecnym Muzeum Miejskim w Toruniu, z zakresu historii sztuki i etnografii. Oddzielny dział przyszłego Muzeum Ziemi Pomorskiej ma stanowić Muzeum Prehistoryczne, posiadające już dzisiaj wiele niezwykle cennych wykopalisk z terenu całego Pomorza.

Niezależnie od tych zbiorów myśli się w Gdyni o zbudowaniu centralnego Muzeum Morskiego, którego bardzo ważny dział stanowiłyby bogate zbiory kaszubskie, przechowywane w obecnym Muzeum w Orłowie. Być może, że przyjdzie kiedyś kolej i na założenie Muzeum kolonialnego, dla którego Gdynia byłaby najodpowiedniejsza. Celem ożywienia życia naukowo-kulturalnego w terenie nie powinno się likwidować zbiorów i muzeów lokalnych, zebranych niekiedy nadludzkim wysiłkiem i z wielkim poświęceniem przez jednostki prywatne — lecz raczej dążyć do zapewnienia im odpowiedniego pomieszczenia i umożliwienia dalszego rozwoju. Zbiory takie istnieją już w Tucholi, Chojnicach, Kartuzach, a byłoby wskazane ze wszech miar, by mogło powstać również Muzeum kociewskie w Tczewie.

Na zakończenie jedna ważna uwaga. Najważniejszym jednak elementem, od którego zależy przyszłość naszej dzielnicy nadmorskiej to — jak zresztą wszędzie — człowiek. I dlatego nawiązując do tego, co powiedziałem wyżej o młodzieży pomorskiej, chciałbym ze specjalnym naciskiem podkreślić, że umiejętne zużytkowanie jej w dziedzinie poczynań kulturalnych dopomogłoby nie tylko do jej zespolenia w ramach jednej większej organizacji i zużytkowania reprezentowanych przez nią zasobów umysłowych i organizacyjnych, ale pozwoliłoby nadto na ugruntowanie pozycji Polski nad Bałtykiem.

Na marginesie

KONIEC EPOPEI

Wiadomości z Rosji Sowieckiej przestały już dziwić. Nie ma zbrodni, która by nie mogła zyskać wiary, nie ma nonsensu, który by nie mógł się stać rzeczywistością.

A jednak wśród tych wszystkich nieograniczonych wprost potworności jedna jest szczególnie rażąca. Wiadomości ostatnich dni mówią, w formie bodaj nad wszelką wątpliwość pewnej, o zarzutach, które spowodowały niełaskę prof. Schmidta, organizatora sowieckich badań polarnych, rzekomo oskarżonego obecnie o spisek, sabotaż, zdradę.

Wiadomość ta ma szczególne znaczenie. Zasługi prof. Schmidta dla Rosji Sowieckiej są bodajże z niczym nieporówywalne. One sprawiły, że przed kilku laty Sowiety przeżyły największy swój triumf ideowy, wykazały, że jest dziedzina, w której mogą przodować światu. Organizacja wypraw polarnych, podejmowanych przez Sowiety, miała w sobie pierwiastki najwyższej wartości ludzkiej, była wzorem inicjatywy, ładu, bohaterstwa zarówno zespołowego, jak jednostkowego. Niektóre epizody tych wypraw, szczególnie dzieje ratowania załogi „Czeluskina", były najlepiej zdanym egzaminem zarówno organizacyjno-technicznym, jak ideowym, w całej historii państwa sowieckiego.

Dziś następuje koniec legendy i koniec epopei. Pod pokrywką nadludzkich wysiłków, ofiarnego i entuzjastycznego bohaterstwa, wielkiej manifestacji najszlachetniejszego humanitaryzmu, który w walce z przeciwnościami groźnej przyrody znajduje ujście dla sił i energii ludzkiej, miała się kryć zdrada, sabotaż, upodlenie.

Potworność tego oskarżenia przewyższa bodajże wszystko, co dotąd Sowiety zademonstrowały Europie. Jaki będzie przebieg procesu — nie wiemy. Może i w tym wypadku wszystkie zarzuty oskarżenia zostaną z gorączkową gotowością potwierdzone przez oskarżonych.

Uprzedzając ten wynik, można chyba zaryzykować jedno twierdzenie. Tego rodzaju koniec bohaterskiej epopei oznaczać będzie zapewne nie to, że cała ta epopea była tylko fikcją, oszustwem, humbugiem. Raczej przypuścić należy coś innego. Epopea ta była chyba zanadto ludzka dla kraju, który zdaje się dzisiaj być rządzony tezą, że nic ludzkiego tolerowane być w nim nie powinno.

Wyrzekając się tej epopei, Sowiety wyrzekają się równocześnie najpiękniejszej karty swojej kilkunastoletniej historii. Obłęd postępuje systematycznie naprzód.

SPRAWA »NIEDOKOŃCZONA«

Wśród spraw „niedokończonych" przez ostatnią sesję parlamentarną znajduje się wniosek o całkowitym zniesieniu uboju rytualnego.

Ocena istotnej ważności tej sprawy jest bardzo różna. Nie uważamy za konieczne zajmowanie w tej chwili stanowiska w odniesieniu do meritum zagadnienia. Należyta ocena momentów gospodarczych i politycznych tej sprawy jest przede wszystkim rzeczą Rządu, który lepiej, niżeli kto inny, może oceniać następstwa przyjęcia tego rodzaju zakazu jako mniej lub więcej kłopotliwe z punktu widzenia całości naszych spraw i interesów.

W danym wypadku nasuwają nam się pewne uwagi natury raczej obyczajowo-moralnej. Pojawienie się wniosku wywołało w pewnych kołach nastrój radosnego zadowolenia, natury — powiedzmy — negatywnej, zadowolenia z wytworzonej w ten sposób wysoce drażliwej sytuacji dla sumienia ortodoksów żydowskich.

I tutaj nasuwają nam się następujące reminiscencje pewnego z ogromnym powodzeniem przed paru laty wyświetlanego angielskiego filmu, przedstawiającego dzieje walk garnizonów angielskich na pograniczu bodajże afgano-indyjskim.

W filmie tym jest podwójna scena wymuszania zeznań. W jednym wypadku wymuszanie zeznań przeprowadza wódz jednego ze zbuntowanych szczepów miejscowych, ot, taki sobie, nieco o Europę otarty, Azjata. Otóż z dużą barwnością przedstawiona jest scena wbijania za paznokcie trzech oficerów angielskich długich, ostrych, drzazek, które następnie są podpalane. Dwóch oficerów wytrzymuje tę próbę charakteru dość łatwo, jeden — najmłodszy— załamuje się, częściowo naskutek ogólnej depresji psychicznej, wywołanej żalem do własnego ojca, będącego równocześnie surowym dowódcą.

W tym samym filmie jest równocześnie scena, o wiele krótsza, wymuszania zeznań przez oficerów angielskich na pojmanym tubylcu, mahometaninie, członku zbuntowanego szczepu. Tortura europejska jest bezporównania mniej bolesna. Polega tylko na groźbie zaszycia pojmanego w skórę nieczystego i przez religię zabronionego mu zwierzęcia — wieprza. Groźba ta —widok przyniesionej skóry — działa bezporównania silniej, niżeli wszelkie tortury cielesne. Jeniec w panicznym strachu, w ataku nerwowego wstrętu, wyznaje wszystko, czego od niego żądają.

Film jest piękny, istotnie bohaterski, podniosły. Nie mniej ta scena wywołuje pewne refleksje. Który z dwóch przedstawionych sposobów tortury był naprawdę bardziej barbarzyński? — Ten, który groził ciału, czy ten, który był tylko wyzyskaniem nierozsądnego zabobonu dla zagrożenia duszy.

Sprawy wyznania, sprawy religii, należą niewątpliwie do najtrudniejszych. To co dla jednych będzie tylko przełamaniem głupoty i zabobonu, dla drugich może być przedmiotem najboleśniejszego przeżycia. Wyższość człowieka kulturalnego nad niekulturalnym polega właśnie na zdolności przyjęcia pod uwagę i tego rodzaju różnic.

Człowiek prawdziwie religijny szanuje przede wszystkim własne wierzenia, lecz nie lekceważy również i cudzej religijności. Rozkosz w przełamywaniu cudzych wierzeń, podobnie jak rozkosz w zadawaniu wszelkiego bólu, znajduje tylko barbarzyńca.

Walka o zniesienie w Polsce przejawów barbarzyństwa i zabobonów, związanych z niektórymi wierzeniami żydowskiej ortodoksji, jest rzeczą naturalną i konieczną. Nie trzeba jednak, by walka ta wiązała się nadmiernie z wytwarzaniem psychologii radosnego sadyzmu, szczególnie w rzeczach wiary. Na miejsce cudzego barbarzyństwa w stosunku do zwierząt — nie propagujmy własnego barbarzyństwa w stosunku do ludzi.

ORDYNACJA WYBORCZA

Pan red. Czapiński przyciska nas do muru. Przyjmując tezę, że dyskusja na temat demokracji jest zbyt ogólna (patrz poprzedni Nr „N. i P."), stawia pytanie bardziej konkretne: „ordynacja wyborcza?".

Nie chcemy udawać, że nie dostrzegamy pytania. Lecz odpowiedź i tu nie może być zupełnie zadawalająca.

Nie jesteśmy entuzjastami ordynacji obecnej. Nie jesteśmy jednak i entuzjastami błogiej nadziei: wystarczy zmienić ordynację w duchu liberalnym i wszystko będzie dobrze. Lud sprawiedliwie i mądrze wybierze, Sejm sprawnie losem państwa pokieruje, wróci sielanka lat i dni przedmajowych.

Sielanką tą nigdyśmy się nie entuzjazmowali. Dziś widzimy jak kosztów takiej sielanki nie mogą podźwignąć państwa bez porównania od nas wewnętrznie silniejsze, zasobniejsze i lepiej zorganizowane.

Rzeczą ogromnej wagi jest wzmożenie odpowiedzialności c a ł e g o społeczeństwa za Państwa. Jednym ze środków może tu być zmiana ordynacji wyborczej. Nie jest to jednak środek ani wyłączny, ani dostateczny. Nie jesteśmy zaś zwolennikami metody „skoków w nieznane", jeśli ryzyko tej metody ma ponieść Państwo.

Doceniając w pełni wartość form demokratycznych, trzeba im jednak przypisać znaczenie nie idealne, lecz faktyczne. Forma musi być funkcją treści. Polska musi mieć ambicję, by stać się — powiedzmy — Anglią, musi mieć jednak i poczucie, że jeszcze Anglią nie jest i to nie ze względu na formę, lecz ze względu na treść istotnych warunków naszego życia. Nie dobrze zaś byłoby, gdybyśmy — w naszych warunkach geograficznych i politycznych — stali się np. taką dzisiejszą Francją. Po co robić przyjemność Hitlerowi? O tym zapominać nie można przy rozważaniu nawet tak ważnego i konkretnego zagadnienia, jakim jest sprawa ordynacji wyborczej.

ŁOBUZERKA

Prima Aprilis jest zdawna dniem przeznaczonym dla żartów. Żarty mogą być różne: udane, nieudane. Niekiedy mogą być także uczciwe lub nieuczciwe.

Jedno z pism wileńskich wydało dodatek nadzwyczajny pod redakcją dwóch dziennikarzy warszawskich. Dowcip tego dodatku jest zupełnie swoisty. Gdybyśmy chcieli rywalizować, moglibyśmy pod datą 1 kwietnia również wydać dodatek nadzwyczajny, donoszący naprzykład, że p. Stanisław Mackiewicz został przyłapany na kradzieży zegarka, p. Ksawery Pruszyński zgwałcił małoletnią dziewczynkę, p. Karol Zbyszewski fałszował weksle. Byłby to niejako odpowiednik dowcipów na temat podarunków pieniężnych, posad, radości Stalina etc. Gdybyśmy relacje te odpowiednio zabarwili — dodatek mógłby być nawet poczytny. Jednak dumni z niego napewno nie bylibyśmy. Trawestując wyrażenie Norwida, musielibyśmy przyznać, że humor tego rodzaju jest wprawdzie bardzo tani, bardziej jednak niecny.

Autorzy i redakcja wileńskiego pisma są — jak widać z następnego numeru — dumni ze swego wyczynu. Ano, rzecz gustu. Przekonywać nie będziemy. Nie będziemy tłumaczyć, że jest granica, poza którą dowcip staje się paszkwilem, publicystyka — łobuzerką.

Jak powiedzieliśmy — rzecz gustu. Nawracać nie będziemy. Sukcesów nie zazdrościmy.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Wielkie Niemcy

(a) Prasa gospodarcza nadal omawia skutki, jakie wywołało włączenie Austrii do Niemiec, podkreślając przede wszystkim wpływ zespolenia dwu organizmów gospodarczych na ich siłę i zdolność ekspansji, która będzie bezwzględnie większa, niż arytmetycznie suma ciążenia na stosunki europejskie każdego z nich z osobna. W ubiegłym numerze „Narodu i Państwa" podkreśliliśmy, że poza szeregiem innych korzyści, Austria będzie stanowić dla Rzeszy doskonały pomost do opanowania gospodarczego krajów półwyspu bałkańskiego i basenu naddunajskiego. Podajemy obecnie cyfry obrotów handlowych między niektórymi z tych państw a Austrią i Niemcami łącznie w r. 1937. Wyrażone są one w procentach całego przywozu lub wywozu poszczególnych państw i świadczą o istniejącym już uzależnieniu, które będzie się ustawicznie wzmagać.

Niemcy, idąc na Bałkany, szukają surowców przemysłowych i żywności. Znajdując je, uzyskują równocześnie rynek zbytu dla swego przemysłu. Wartość gospodarczą tego powiązania podnosi fakt, że półwysep bałkański na wypadek wojny będzie stanowił bliską i komunikacyjnie dobrze związaną bazę aprowizacyjną. Dzisiejsze cyfry obrotów handlowych, które wahają się od 55 do 29%, dla Rzeszy Niemieckiej stanowią pozycję kilkakrotnie mniejszą ze względu na rozmiary niemieckiego handlu zagranicznego.. W ten sposób powstaje duża jednostronna zależność gospodarcza, mogąca stanowić doskonały instrument nacisku politycznego, który niekiedy najłatwiej i najskuteczniej działa poprzez momenty gospodarcze.

	Przywóz z Austrii i z Niemiec	Wywóz do Austrii i Niemiec
Grecja	29%	29%
Bułgaria	58%	47%
Jugosławia	44%	34%
Rumunia	40%	27%
Węgry	43%	44%

Inwestycje na kredyt

(a) Na odczycie wygłoszonym w końcu marca, zatytułowanym „Zagadnienie inwestycji w budżecie państwa i w gospodarstwie społecznym", prof. Rybarski poruszył ciekawy problem wzrostu zadłużenia państw w latach ostatnich i obaw z tym związanych. Obawy te nie są nowe, występowały one równie silnie w XIX wieku, gdy rozwój nowoczesnego państwa z całym kompleksem obowiązków powodował zadłużanie się skarbów poszczególnych krajów dla sprostania nowym zadaniom gospodarczym, społecznym i, bądźmy szczerzy, militarnym. Oczywiście dziś przyjmujemy ówczesne sumy długów z uśmiechem lekceważenia, porównując je z miliardowymi długami choćby Włoch czy Niemiec. Czemu jednak przypisać, że te relatywnie znaczne na owe czasy sumy nie spowodowały poważniejszych komplikacji?

Prof. Rybarski widzi kilka powodów: nieustanny w XIX i w pocz. XX wieku wzrost dobrobytu, połączony z silnym wzrostem ludności, zwiększając dochody państw, pozwalał im wywiązywać się bez trudu ze swych zobowiązań. Z drugiej strony b. powolny, nie mniej w sumie znaczny spadek wartości pieniądza, działając na niekorzyść wierzycieli, ułatwiał państwom spłatę pożyczek, których wartość realna malała.

Lata powojenne, jak dotychczas, wykazują raczej zahamowanie postępu gospodarczego. Okres pokryzysowej koniunktury nie przyniósł większych odchyleń in plus w porównaniu z prosperity z r. 1929. Liczba ludności nie rośnie tak automatycznie i żywiołowo, jak dawniej. Natomiast zadłużenie skarbów wskutek wykonywania wielkich programów inwestycyjnych zwiększa się gwałtownie. Niebezpieczeństwo załamania jest tym groźniejsze, że rentowność dokonywanych inwestycji staje się coraz bardziej problematyczna. Kosztowne autostrady niemieckie często nie tylko same nie są opłacalne, ale podważają opłacalność dawniej zbudowanych szos czy linii kolejowych, które biegną równolegle. A przecież inwestycje zbudowane na kredyt tylko wówczas będą mogły być spłacone, jeśli albo same będą dawać odpowiedni dochód, albo przyczyniając się do ożywienia życia gospodarczego, ułatwią pokrycie własnych kosztów pośrednią drogą przez zwiększenie wpływów podatkowych. W przeciwnym razie nadmierny wzrost niespłacalnego zadłużenia musi doprowadzić do bankructwa państwa t. j. w praktyce do obdarcia naiwnego wierzyciela, który pożyczył, notabene najczęściej pod przymusem.

Nie polemizujemy z prof. Rybarskim, choć może ktoś za lat 50 czy 100 będzie się dziwił, że można było się trwożyć tak nikłymi „długami". Natomiast należy wywody prelegenta uzupełnić w tej części, którą pokrył milczeniem, a która dotyczy Polski. W świetle argumentów prof. Rybarskiego nie należy obawiać się niepomyślnych skutków polskiego planu inwestycyjnego. Polska pod wieloma względami przypomina Europę XIX wieku. Nasz poziom gospodarczy jest niski. Możliwości rozwoju szerokie. Kredytowanie inwestycji jedynie przyśpiesza ich zrealizowanie. Nie mamy również inwestycyjnego „przesycenia" niemieckiego. Dlatego możemy inwestować odważnie, co nie znaczy oczywiście nierozsądnie i nierentownie, bez obawy, że staniemy wobec niemożności spłacenia zaciągniętych na inwestycje zobowiązań.

O NAS U OBCYCH

Zagadnienie żydowskie w Polsce

W n-rze z marca br. przynosi jeden z czołowych miesięczników niemieckich — *Volk und Reich* — obszerny wywód, poświęcony zagadnieniu żydowskiemu w Polsce, pióra dra P. H. Seraphima z Królewca, zajmującego się od szeregu lat zagadnieniami wschodnioeuropejskimi, w szczególności polskimi.

Po dłuższym wstępie historycznym, z którego jednak starannie usunięte zostały momenty, świadczące o jakichkolwiek związkach żydostwa polskiego z niemczyzną (pominięto np. dyskretnie sprawę pochodzenia większej części żydostwa polskiego, nie wspomniano ani słówkiem o żargonie itp) autor przechodzi do szczegółowego przedstawienia siły liczebnej i rozmieszczenia terytorialnego elementu żydowskiego. Autor stwierdza tutaj przede wszystkim, że w porównaniu ze stanem na przełomie w. XIX. i XX. liczba żydów na dzisiejszym terytorium Polski zwiększyła się nieco, jeśli chodzi o liczby bezwzględne, zmniejszył się jednak jej procentowy udział w ogólnej cyfrze ludności kraju. Dalszym rysem charakterystycznym omawianego zagadnienia, to — zdaniem autora — wybitna urbanizacja elementu żydowskiego, dająca dla całego kraju przeciętną 77%. Szczegółowemu omówieniu poddaje dr. Seraphim zagadnienie struktury społeczno-zawodowej Żydów.

Jeśli chodzi o postawę antyżydowską społeczeństwa polskiego, to postawa ta — zdaniem autora — znajduje swe uzasadnienie wyłącznie w dziedzinie gospodarczej. Antysemityzm polski nie wywodzi się z momentów rasowych, lecz jest podyktowany względami natury ekonomicznej, głównie zaś naciskiem na miasta, zablokowane przez żydów.

W odniesieniu wreszcie do sprawy rozwiązania zagadnienia żydowskiego autor nie sądzi, by rozwiązała je emigracja do Palestyny, równocześnie zaś podkreśla z naciskiem, że w likwidacji zagadnienia żydowskiego w miastach jest zainteresowane nie tylko społeczeństwo polskie, lecz także i inne narodowości, żyjące w Polsce i — podobnie jak Polacy — odepchnięte dotychczas od miast.

Spółdzielczość ukraińska w Polsce

Zainteresowanie czynników niemieckich dla spraw Ukrainy wogóle, a dla zagadnienia ukraińskiego w Polsce w szczególności jest znane nie od dzisiaj. W niemieckich koncepcjach politycznych sprawa ukraińska odgrywa tak doniosłą rolę, że zainteresowanie to wyraża się m. in. w publikowaniu obszernych opracowań czy artykułów prasowych nawet w odniesieniu do zagadnień o charakterze fragmentarycznym.

Organ t. zw. Związku dla spraw Wschodu Niemieckiego *(Bund Deutscher Osten)* — *„Ostland"* — zwracający na sprawy ukraińskie dość często uwagę, przynosi w jednym z ostatnich swoich numerów szereg informacyj, dotyczących jednej z ważniejszych gałęzi gospodarczego życia ukraińskiego w Polsce — *spółdzielczości ukraińskiej.* Z nieukrywaną satysfakcją pismo przytacza cyfry, ilustrujące olbrzymi rozwój tej spółdzielczości na przestrzeni kilkunastu lat, poczynając od r. 1924, kiedy to liczono ogółem 928 spółdzielni z 148.000 członków, kończąc na r. 1936, kiedy tych spółdzielni było 3.229 z 550.000 członków. Pismo sugeruje przy okazji, że ostatnia cyfra spółdzielni ukraińskich jest wyższa, wskutek zaliczania do spółdzielni polskich niektórych ukraińskich spółdzielni, należących do polskich związków rewizyjnych.

W dalszym ciągu swych rozważań „Ostland" zwraca uwagę na zadania narodowe, jakie — obok zadań gospodarczych — spełnia w życiu ukraińskim spółdzielczość. Członkowie organizacyj spółdzielczych rekrutują się w lwiej części spośród drobnych chłopów ukraińskich, dla których organizacje spółdzielcze stanowią doskonałe oparcie dla wszelkich poczynań narodowo - ukraińskich, gdyż uniezależniają ludność ukraińską od polskich instytucyj gospodarczych i kredytowych. Okoliczność ta sprawia, że chłop ukraiński nie tylko, że opiera się z powodzeniem wpływom polskim, lecz powoli i systematycznie zwiększa z roku na rok swój stan posiadania. Pismo stwierdza, że spółdzielczość ukraińska w Małopolsce Wschodniej wykazuje daleko więcej dynamiki i ideowości w podchodzeniu do spraw spółdzielczości od spółdzielczości polskiej, która zbytnio ogląda się na pomoc ze strony Państwa. Zorganizowane spółdzielcze życie ukraińskie — zdaniem pisma — stanowi w chwili obecnej czynnik, zdolny przeciwstawić się skutecznie wszelkim poczynaniom ze strony polskiej. Niezależnie od odwracania od chłopa ukraińskiego niebezpieczeństwa polskiego spółdzielczość ukraińska — zdaniem „Ostlandu — zdolna jest uwolnić tego chłopa od jarzma pośrednictwa żydowskiego, odgrywającego w handlu płodami rolniczymi i w drobnym handlu wiejskim olbrzymią rolę.

Według danych statystycznych z 1935 r. członkowie spółdzielni ukraińskich rekrutują się w 90% spośród chłopów. Okoliczność ta sprawiła, że spośród typów spółdzielni dominują w spółdzielczości ukraińskiej spółdzielnie zakupu i zbytu płodów rolniczych. Spółdzielczość ukraińska — kończy „Ostland" — wychodzi przy tym ze słusznego założenia, że pierwszorzędną pomoc dla chłopa ukraińskiego stanowi nie kredyt, którego w większej ilości i tak niema, lecz wyłącznie i tylko dobrze zorganizowany zbyt płodów rolniczych.

PRZEGLĄD PRASY

Puklerz Rzeczypospolitej

Organ kół wojskowych POLSKA ZBROJNA (nr. 92) przeprowadza w związku z odbytym w dniach od 30.3 do 6.4. dorocznym Tygodniem propagandowym Polskiego Związku Zachodniego szczegółową i równocześnie niesłychanie wnikliwą analizę hasła tegorocznego „Tygodnia" — „Przygranicze pancerzem Rzeczypospolitej!"

„Ziemie przygraniczne Polski — pisze „Polska Zbrojna" — muszą nie tylko godnie reprezentować Polskę na zewnątrz i promieniować jej kulturę. Muszą być narodowo w pełni uświadomione, duchowo zwarte i gospodarczo mocne, a w swym stanie posiadania co najmniej uprzywilejowane. Stałe pomnażanie polskich warsztatów pracy — przemysłowych, handlowych — rzemieślniczych, rozwój spółdzielczości, sieci komunikacyjnej, zaspokajanie najpilniejszych potrzeb inwestycyjnych, walka z bezrobociem, rozwój szkolnictwa — oto drogi, które prowadzą do celu, aby powiaty te stały się murem obronnym Rzeczypospolitej. A ponieważ ziemie naszego przygranicza są powiatami rolniczymi, podstawą siły polskiej wzdłuż całej granicy musi być rolnik polski, racjonalnie gospodarujący na własnym i zdrowym warsztacie rolnym".

I dalej jeszcze:

„Na przygraniczu stoi przed nami wielka praca. Wszystko, co jest jeszcze niedostatecznie zorganizowane i małe, musi być zwiększone i spotęgowane. Praca na tych ziemiach szczególnie wykonywana być musi ponad miarę codzienną. Wszystko, co jest tam jeszcze dziś słabością, jutro stać się musi prawdziwą siłą, prawdziwym puklerzem granic Rzeczypospolitej, murem obronnym, przed którego przebyciem nieprzyjaciel, gdyby go chciał przekroczyć, musiałby się dobrze zastanowić.
Pracę tę podjął Polski Związek Zachodni. Podjął ją w przekonaniu, że zyska mocne oparcie w świadomym swych zadań i obowiązków społeczeństwie polskim i w rachubach swych nie zawiedzie się napewno".

Pismo kończy swoje wywody następującym stwierdzeniem:

„W myśl wskazań Wodza Naczelnego idea obronności Państwa nie polega bowiem tylko na jego przygotowaniu orężnym, lecz wyraża się sumą wszystkich sił materialnych i duchowych Narodu, sumą całego jego dorobku kulturalnego, opartego na codziennej, skonsolidowanej pracy, stanowiącej wielką Jedność.
W tej Jedności nie może zabraknąć ziem przygranicznych, którym z pomocą musimy pospieszyć.
Przygranicze bowiem — powtórzymy jeszcze raz — to pancerz i i puklerz obrony Rzeczypospolitej. Pancerz ten musi być mocny, trwały i niezniszczalny".

Nastroje wśród Ukraińców

GAZETA POLSKA (nr. 90) przyniosła wyczerpującą analizę nastrojów, jakie w chwili obecnej nurtują Ukraińców, nastrojów, będących echem ostatnich wielkich i doniosłych wydarzeń z terenu polityki europejskiej, które zawsze stanowiły i w dalszym ciągu stanowią dla społeczeństwa ukraińskiego źródło wniosków i uzasadnień dla własnych zamierzeń i ambicyj narodowych:

„Ukraińska publicystyka polityczna pragnie sytuację wytworzoną w środkowej Europie skapitalizować na odcinku wewnętrznym i w tym celu roztrząsa raz jeszcze położenie Ukraińców w Rzeczypospolitej, w aspektach „linii generalnej". Raz jeszcze następuje ab ovo analiza pojęcia i dotychczasowej historii „normalizacji". Znowu spotyka Polaków zarzut, że nie przyjęli ukraińskiej wykładni „normalizacji", wykładni, zdaniem Ukraińców jedynie obiektywnie słusznej, a polegającej na odgrodzeniu rozwoju życia ukraińskiego we wszystkich dziedzinach od rozwoju życia polskiego na ziemiach poł.-wschodnich. Skutek: radykalizacja nastrojów — powiadają Ukraińcy. Wśród Ukraińców mianowicie podnoszą znowu głowę nastroje sowietofilskie, „komunizujący nacjonalizm, względnie nacjonalistyczny komunizm". Społeczeństwo polskie też organizuje się coraz żywiej na froncie antyukraińskim. Parlament polski — woła pos. Kuźmowycz — steruje w kierunku „totalistycznego nacjonalizmu" i „przekreśla doktrynę, z której powstał". Ukraińcy — czytamy — zwrócili całą swoją energię przeciw Moskwie i spodziewali się, że Polacy uzupełnią ten ukraiński front antysowiecki, tymczasem Polacy nie wykazali dla tej postawy zrozumienia, przeciwnie wyzyskali antyrosyjską postawę Ukraińców dla mobilizacji przeciw Ukraińcom. Wreszcie: jeśli uznaje się za słuszne żądania Polaków w Czechach, czy Polaków na Litwie — to dlaczego przeczy się podobnym żądaniom Ukraińców w Rzplitej? Polacy — konkluduje się ze strony ukraińskiej — też tworzą „fikcje", ale — słyszymy złowróżbne przepowiednie — i ta padnie pod naporem życia i nie przysłuży się państwowej racji stanu".

Przedstawiając w zarysie powyższy obraz, „Gazeta Polska" ustala ze swej strony następujące aksjomaty:

„1) Nie możemy uznać jednostronnej wykładni pojęcia „normalizacji" za obowiązującą dla obu społeczeństw. Oba społeczeństwa dążyć muszą do wspólnego uzgodnienia poglądu na rzeczywistą normalizację stosunków. 2) I nas martwią wzrastające u Ukraińców nastroje sowietofilskie, ale szczerze i naprawdę nie rozumiemy ich źródła i przyczyny, uznać musimy natomiast paradoksalność tych nastrojów zwłaszcza wobec ostatnich wydarzeń w Rosji. 3) Ów reklamowany ciągle front antyrosyjski Ukraińców jest dla nas, podobnie, jak i ciągle wyolbrzymiane „niebezpieczeństwo rosyjskie" — nieco mglisty i konstruowany. Nie bardzo rozumiemy mianowicie, w czym manifestuje się owa skoncentrowana rzekomo na froncie antyrosyjskim energia ukraińska, a jeszcze mniej pojmujemy w czym — celowo — miałaby się wyrażać kolaboracja polska na tym froncie. 4) W położeniu Ukraińców w Polsce, a Polaków w Czechach, względnie na Litwie jest zupełnie zasadnicza różnica, której oblicze jest napewno samym Ukraińcom doskonale znane. Polacy w Czechach i na Litwie są w sposób bezwzględny wynaradawiani — o polonizowaniu, wynaradawianiu Ukraińców nikt w Polsce odpowiedzialny nie myśli".

Pismo kończy swoje wywody następującą uwagą:

„Chcemy wierzyć, że publicystyka ukraińska, mówiąc o rzekomej „fikcji", budowanej na ziemiach poł.-wschodnich istotnie szczerze zatroskała się o przyszłość państwowej racji stanu Rzplitej. Odpowiedzialnym wszelako i kompetentnym stróżem tej racji jest Państwo i jego najwyższe organy".

Sprawa Czechosłowacji

Rozwój sytuacji wewnętrznej w Czechosłowacji, będący wynikiem ostatniego rozwoju wypadków politycznych na arenie europejskiej, a wyrażający się w coraz dobitniej podnoszonym przez mniejszości narodowe wołaniu o autonomię i rosnącym w związku z tym niebezpieczeństwem niemieckim, spowodował u naszych przysięgłych przyjaciół i obrońców Czechosłowacji i jej polityki charakterystyczne przemiany: oto spotykamy się w kołach tych coraz częściej z lekkimi atakami na prowadzoną przez państwo czeskie politykę wewnętrzną, zwłaszcza zaś na politykę w stosunku do ludności polskiej czy do Słowaków, którą to politykę do niedawna jeszcze się pochwalało.

Oto, co np. pisze świeżo na powyższy temat katowicka POLONIA (nr. 4832).:

„Źle jest, że dotychczas rząd praski nie potrafił w obliczu grożącego niebezpieczeństwa dogadać się ze Słowakami i mniejszością polską. Zwłaszcza, oczywiście, ze Słowakami, gdyż mniejszość polska liczebnie nie odgrywa decydującej roli, ważna jest zaś ze względu na stanowisko Państwa Polskiego. Natomiast nie możemy się oprzeć wrażeniu, że sprawa dojścia do porozumienia ze Słowakami ma znaczenie dla państwa czechosłowackiego wręcz decydujące. Jest to sprawa jednolitości oporu obu trzonów, na których państwo czechosłowackie się opiera, sprawa siły wewnętrznej i obronności. Tylko wówczas, kiedy obie części państwa będą równo zainteresowane w jego utrzymaniu, tylko wówczas siła oporu jego będzie dostateczna na to, aby przetrwać kryzys i wykazać żywotność, która by zachęciła przyjaciół do przyjścia z pomocą. Nie ma tak wielkich ofiar, których by dla tego celu nie opłaciło się ponieść".

I dalej jeszcze:

„Wydaje nam się, że najważniejszą sprawą jest tu ostateczne załatwienie uzasadnionych pretensji mniejszości słowiańskich i utworzenie wspólnego frontu Czechów, Słowaków i Polaków w Czechosłowacji wobec mniejszości niemieckiej i węgierskiej. Jest to sprawa niezmiernie doniosła i niezmiernie pilna. Jako szczerzy przyjaciele Czechosłowacji życzymy jej rządowi, aby problem ten rozwiązał sprawnie i bez reszty".

Głos „Polonii", która dotąd bez większych zastrzeżeń aprobowała prawie zawsze wszelkie posunięcia rządu praskiego, wskazuje, że i w tej dziedzinie naszej polityki zagranicznej istnieją warunki zasadniczej zbieżności i jednolitości poglądów całego społeczeństwa.

Postawa Polski wobec Litwy

Niedawne posunięcia Rzplitej w polityce polsko - litewskiej zaktualizowały pytanie, czy istnieje konsekwentna polityka polska wobec Litwy, t. zn. czy istnieje jakaś ściśl ej określona linia wytyczna tej polityki.

Na pytanie to daje następującą odpowiedź KURJER WILEŃSKI (nr. 87):

„Tezą polskiej polityki zagranicznej, postawioną przez Marszałka Piłsudskiego, w logice Jego wieloletniego postępowania względem krajów bałtyckich — jest pewnik, że nie ma i być nie może dla Rzplitej lepszego rozwiązania zagadnienia tych terenów. niż istnienie na nim istotnie niezawisłych państw, utworzonych na gruncie idei narodowej: Litwinów. Łotyszów. Estów.
Stosunek Rzplitej do Litwy jako państwa, rozumiany w skali wieków, w swej treści najgłębszej, ujawnia od lat dziewiętnastu wyraźną linię myśli i czynu. Określa ją uznanie ze strony polskiej zasady, że naród litewski posiada takie same prawa do rządzenia swym losem, jak każdy inny, oraz że trwałe istnienie niepodległego państwa na obszarach etnicznych litewskich jest dla Rzplitej równie pożądanym w polityce faktem, jak był suwerenny Łotwy czy Estonii".

Uznać więc należy za pewnik fakt, że Polska nigdy nie dawała pozoru w latach powo ennych, że nastaje na samoistność Litwy jako państwa. Dlatego też u podłoża decyzji z pamiętnych dni marcowych leżała głęboka wiara w żywotność narodu litewskiego i w jego zdolności do życia niepodległego.

„Polska w swym ultimatum z 17 marca br. postarała się tylko o jedno: stworzenie warunków, przy których głos rozsądku mógłby się rozlegać stale z obu stron i omawiać wzajemne konieczności racji stanu przez czynniki odpowiedzialne za przyszłość obu narodów. Natomiast Rzplita ustrzegła się tym razem pokusy narzucenia drugiej stronie, w jakimkolwiek zagadnieniu merytorycznym ich stosunku — jednostronnie swej woli.
W ten sposób rozproszono raz jeszcze siłą czynu niedokonanego — w tym wypadku najwymowniej — mit o wrogości Polski względem Litwy. Potwierdzono w całej pełni testament Marszałka Piłsudskiego w tej dziedzinie. Okazało się dowodnie, że „cofnięcie kredytu zaufania" przez ministra Becka wobec Litwy, zgłoszone w roku ubiegłym, dotyczyło dyplomacji litewskiej, a nie narodu czy państwa litewskiego. Polska wciąż jeszcze chce ufać w zdolności państwowotwórcze rasy litewskiej; w trzeźwe poczucie rzeczywistości naszego sąsiada nad Niemnem. Tragedia dla obu narodów zaczęłaby się dopiero od chwili, w której doświadczenie życiowe musiałoby wykazać Polsce bezzasadność tej wiary. Chcemy ufać, że chwila ta nie nastąpi nigdy".

Rozpolitykowanie młodzieży i wojsko

Ostatnio zaktualizowana została ponownie sprawa odsunięcia młodzieży od czynnego angażowania się w negatywnych formach życia politycznego. Pisząc obszernie na temat powyższy, DZIEŃ POMORZA (nr. 75) konkluduje:

„W zgodnym działaniu muszą podać sobie ręce władze, rodzice i opiekunowie. Jednym ze środków, uzdrawiających tę nieznośną atmosferę, stał się już obowiązek odbycia służby wojskowej przed rozpoczęciem studiów wyższych.

W ten sposób wojsko — ta najlepsza szkoła życia i środowisko wychowania obywatelskiego — przygotowuje uczelniom ludzi dojrzałych, którzy w życie akademickie wchodzą już z pewnym skrystalizowanym poczuciem obowiązków wobec Państwa Polskiego, obowiązków, z których dopiero rodzą się prawa".

WSRÓD KSIĄŻEK

Problem emigracji żydowskiej

Jan Ziemiński: **„Problem emigracji żydowskiej"**. Warszawa 1937. Nakładem Związku pisarzy i publicystów emigracyjnych.

Po okresie przymusowych wędrówek w czasie niewoli babilońskiej, które skończyły się w połowie VI wieku przed Chrystusem i w rezultacie pozostawiły kilkadziesiąt tysięcy Żydów w Mezopotamii, rozpoczęła się epoka dobrowolnych migracji żydowskich, związanych z przemianą ich struktury społecznej i gospodarczej. Kierowały się one w stronę centrów handlowych ówczesnego świata. Rozmiary przesunięć były tak wielkie, że w chwili narodzenia Chrystusa żyła w Palestynie zaledwie 1/6 część narodu żydowskiego. Reszta rozproszona była w śródziemnomorskiej dias porze, zajmując się handlem i kredytem. W samej Aleksandrii liczba Żydów sięgała 200 tysięcy.

Średniowiecze zastało ich na tych samych placówkach. Żydzi spełniają rolę pośredników i bankierów tak długo, jak długo emancypujące się gospodarczo poprzez rozwój mieszczaństwa narody nie zaczynają eliminować elementu napływowego, obcego kulturalnie i wyznaniowo. R. 855 przynosi wypędzenie Żydów z miast włoskich, r. 1290 z Anglii, w wieku XIV usuwają ich miasta francuskie i niemieckie, wreszcie w 1492 następuje wygnanie z Hiszpanii. Masy żydostwa płyną na wschód szlakiem południowym z półwyspu iberyjskiego do Afryki północnej i Turcji, szlakami północnymi z Francji przez miasta niemieckie do Polski. W w. XV istnieje w Polsce około 50 gmin żydowskich, grupujących 20 tysięcy Żydów, w końcu w. XVI liczba ich podnosi się do 100 tysięcy.

W ostatnich latach Rzeczypospolitej szlacheckiej na ziemiach jej przebywa 900 tysięcy Żydów, t. j. 10% ogółu ludności, podczas gdy chrześcijańska ludność miast nie przekraczała 6%, a szlachta 8%. Jedna trzecia Żydów zamieszkiwała na wsi, zajmując się drobnym handlem i szynkarstwem. Struktura żydowska zawierała już wtedy wszystkie te same cechy co dziś — skoncentrowanie w miejskich zawodach tak nadmierne, że powstał kilkuset tysięczny żydowski proletariat, żyjący w skrajnej nędzy i nie mający żadnych widoków na generalną poprawę swego losu, gdyż praca jego nie posiadała uzasadnienia gospodarczego.

Wiek XIX, wiek tworzących się kapitalistycznych form gospodarki i światowej wymiany, przypomina w dziejach żydowskich okres Imperium Rzymskiego. Następują masowe wędrówki do krajów, w których rozwój struktury gospodarczej najbardziej szedł po linii psychiki żydowskiej, ich zdolności i właściwych im metod gospodarowania. W ciągu stulecia 1830 — 1930 wywędrowało do Stanów Zjednoczonych 4,2 miliony Żydów, a równocześnie odbywały się wielkie procesy emigracyjne ze wschodu Europy do Niemiec, Anglii i Francji. Jak wielkim bodźcem stały się dla żydowstwa przemiany kapitalistyczne mówi to, że tych ogromnych mas wychodźtwa dostarczył naród liczący w r. 1821 3,3 miliony dusz, z tego 2,7 zamieszkało w Europie.

Dziś liczba Żydów wynosi 16 milionów, 3,4 miliona zamieszkuje w Polsce. Wysoka stopa przyrostu naturalnego Żydów powodowała, że mimo emigracji ilość ich w Europie wschodniej i w Polsce rosła. Dopiero u schyłku w. XIX rozpoczyna się powolny proces ewakuacyjny. Od r. 1897 — 1924 stan Żydów w Polsce zmniejszył się z 2,95 miliona do 2,84. Jednakże lata powojenne przyniosły zahamowanie wędrówek żydowskich, zwłaszcza na skutek prawie całkowicie zamkniętej emigracji do Stanów Zjednoczonych. Powstaje co prawda nowy teren imigracyjny — Palestyna. Wschłonęła ona od 1922 r. do 1935 240 tys. osób, w tym 41% z Polski. Jednakże już r. 1936 przyniósł znaczny spadek imigracji, wyniosła ona nieco więcej niż 10,5 tysięcy.

Zagadnienie wychodźtwa żydowskiego do Palestyny — stwierdza autor — nie zależy ani od potrzeb emigracyjnych Żydów, ani od jej zdolności absorpcyjnych, lecz wyłącznie od interesów politycznych W. Brytanii. A że równocześnie problem emigracji staje się dla Żydów coraz bardziej naglącym, powstaje konieczność szukania nowych terytoriów, nowych szlaków wychodźczych.

Jan Ziemiański, dając ze względu na rozmiary pracy pobieżny może, lecz wyrazisty szkic wędrówek żydowskich i warunków w jakich się one odbywały, nie usiłuje wybiegać w przyszłość. Reasumuje i utwierdza raczej te wszystkie dążenia, które rozwiązanie kwestii żydowskiej widzą w emigracji. Książką swą stara się stworzyć dla nich uzasadnienie, które streszcza zamieszczona na wstępie cytata Kapluna Kogana, badacza migracji żydowskich.

„Rozproszony po całym świecie, w losach swych zależny nie tylko od własnej ewolucji, lecz w pierwszym rzędzie od życia gospodarczego narodów panujących, wędruje ten naród przez wszystkie miasta i kraje świata. Ten naród — Żydzi — jeszcze się nie ustatkował. A kwestia żydowska, której istota polega przede wszystkim na wędrówkach żydowskich, jest skutkiem tego problemu migracyjnego".

Nie znajdzie więc w książce Ziemińskiego opowiedzi czytelnik rzucający pytanie — jak doprowadzić do emigracji żydowskiej, natomiast sporo ciekawego materiału znajdzie ten, kto chce lepiej zrozumieć podłoże kwestii żydowskiej. Druga część książki zawiera oświadczenia rządu polskiego i przedstawicieli polskiej opinii politycznej w sprawie żydowskiej na terenie polskim i międzynarodowym oraz głosy działaczy żydowskich na temat emigracji.

Cennym uzupełnieniem pracy jest zebranie w kilkunastu mapach, wykresach i dwudziestu przeszło tablicach danych statystycznych, dotyczących struktury demograficznej, gospodarczej i społecznej Żydów w Polsce. Brak takiego przejrzystego i dostępnego zestawienia był bardzo dotkliwy. Te wszystkie zalety sprawiają, że w naszej ubogiej literaturze o kwestii żydowskiej broszura Ziemińskiego, stanowi pozycję b. pożyteczną. Nie otwierając jakichś dalekich i nowych horyzontów, nie dostarczając rewelacyjnych materiałów, dzięki swej popularnej formie może stanowić ciekawą lekturę dla tych wszystkich, którzy chcą orientować się w zagadnieniu żydowskim, nie tylko z pseudonaukowych wyczynów prasy codziennej.

Strona graficzna książki — wielobarwne mapy i wykresy — jak na warunki polskie prawie że luksusowa.

A.

WYDAWNICTWA NADESŁANE

Aleksander Patkowski. SANDOMIERSKIE. — XII tom „CUDÓW POLSKI". Przedmowę napisał Eugeniusz **Kwiatkowski**, wicepremier i minister Skarbu. Wydawnictwo Polskie R. Wegnera, Poznań, 1938.

Dr Stefan **Rosiński**, prof. W. S. H. w Poznaniu. **NOWE PRĄDY W POLITYCE GOSPODARCZEJ.** Odbitka z „Ruchu Prawniczego, Ekonomicznego i Socjologicznego", zeszyt 1 z 1938 r. Poznań, 1938.

NUMER POPRZEDNI 11-12 — ZAWIERA:

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem